

Spirytyzm

kwartalnik
Polskiego Towarzystwa
Studiów Spirytystycznych
numer 4 (8) / 2011



Spis treści

Redakcja

Redaktor naczelny:
Marcin Stachelski

Oprawa graficzna:
Konrad Jerzak vel Dobosz

Współpracownicy:
Rafał Wiszowaty, Lupercki
Faviani, Antoni Świgoń,
Nelson Bartsch, Wojciech
Chudziński

ISSN: 2081-7436

Kontakt:
redakcja@spirytyzm.pl

Wydawca:
Oficyna Wydawnicza RIVAIL
Konrad Jerzak vel Dobosz
ul. Wałbrzyska 11/85
02-739 Warszawa
NIP: 1251143849
REGON: 142085845
www.rivail.pl
© Oficyna Wydawnicza RIVAIL

Wstęp	2
Ze świata	
Spirytyzm w krajach dawnego bloku komunistycznego.....	4
Nauka	
Nawiedzone domy.....	7
Cuda i nauka nowoczesna.....	15
Doświadczenia dr. Geleya z Frankiem Kluskim	23
Okiem spirytysty	
Sny wieszczów i przeczucia	31
Kilka słów o możliwości poznania świata duchowego	37
Szarlataneria za tysiąc złotych	44
Religia i filozofia	
Ojciec nasz.....	46
Pieśni spirytystyczne.....	51
Historia jednej wazki	59
Psychologia	
O kształceniu własnego charakteru ...	60



Wstęp

Marcin Stachelski

Drodzy Czytelnicy!

Dobiega końca kolejny rok działalności naszego stowarzyszenia spirytystycznego. Odwołując się do ważniejszych wydarzeń ostatniego czasu nie można nie wspomnieć o wizycie brazylijskiego spirytysty Clovisa Portesa w Warszawie. Clovis Portes jest nie tylko nieustrudzonym propagatorem filozofii Kardeca, ale także wziętym esperantystą. O jego wizycie oraz o powiązaniach między językiem utworzonym przez Ludwika Zamenhofa a spirytyzmem, przeczytacie w artykule Konrada Jerzaka.

Wśród tematów, jakimi zajmują się spirytyści, jednym z bardziej kontrowersyjnych – wokół którego narosło dużo mitów i sensacyjnych historii – są nawiedzone domy. W nowym numerze kwartalnika znajdziecie fragment dzieła polskiego parapsychologa Józefa Świtkowskiego dotyczący tego zagadnienia. Autor przytacza w nim dobrze udokumentowane przypadki tajemniczych manifestacji i stara się przybliżyć istotę oraz warunki, w jakich dochodzi do zjawisk mediumicznych w miejscach powszechnie uważanych za nawiedzone przez duchy. Wnioski Świtkowskiego łączą się logicznie z uwagami Alfreda Russela Wallace’a, które znajdziecie w artykule pod tytułem *Cuda i nauka nowoczesna*. Angielski biolog pokazuje, że nawet najbardziej zdumiewające manifestacje duchów nie powinny być uważane za przejaw sił nadprzyrodzonych, gdyż de facto nie kłócą się z naszą wiedzą o przyrodzie.

Po raz pierwszy na łamach naszego pisma zamieściliśmy pieśni spirytystyczne, ujmujące świadectwo głębokiej religijności naszych poprzedników, działających w Polsce przed II wojną światową. Natomiast do osób, które

lubią psychologię, stawiają na samorealizację i rozwój swojego potencjału duchowego, kierujemy tekst *O kształceniu charakteru* Juliana Ochorowicza, gdzie na pewno znajdą wiele mądrych i ponadczasowych myśli.

Wszystkim Spirytystom, naszym Czytelnikom i Sympatykom Polskiego Towarzystwa Studiów Spirytystycznych, w nowym 2012 roku życzymy wiele zdrowia, a także odwagi i siły w zmaganiach z codziennością.

Miłej lektury!



Spirytyzm w krajach dawnego bloku komunistycznego

Konrad Jerzak

W niedzielę 23 października odbył się w Warszawie wykład spirytystyczny Clovisa Portesa z Brazylii, zorganizowany przez Polskie Towarzystwo Studiów Spirytystycznych. W spotkaniu wzięło udział kilkunastu sympatyków spirytyzmu, którzy przybyli dowiedzieć się nieco więcej na temat działalności brazylijskich spirytystów na rzecz rozpowszechniania filozofii zebranej przez Allana Kardeca.

Już po II wojnie światowej Brazylijska Federacja Spirytystyczna zaczęła szeroko promować język esperanto. Było to częściowo związane z faktem, iż spirytyzm podzielał idee braterstwa wszystkich ludzi i równości, które przyświecały Ludwikowi Zamenhofowi w utworzeniu tego niezwykle prostego, międzynarodowego języka; ale także wynikało z przekazów otrzymywanych między innymi przez Chico Xavier, w których Duchy potwierdzały, że esperanto ma do odegrania olbrzymią rolę na świecie. Brazylijscy spirytyści zaczęli więc tłumaczyć podstawowe dzieła spirytystyczne na nowy język i rozsyłać je do esperantystów na całym świecie. Pierwsze efekty tej pracy zaczęły być widoczne głównie w krajach dawnego bloku komunistycznego, gdzie wiele osób zafascynowanych ideałami esperanta, odnalazło inspirację również w dziełach Allana Kardeca. Być może mało kto dziś wie, ale wiele pierwszych tekstów spirytystycznych w języku polskim, z tych które ukazały się drukiem na przełomie XX i XXI wieku, przekładane było właśnie z esperanckich książek.

Clovis Portes już 20 lat temu postanowił wspierać rozwój ruchu spirytystycznego we wschodniej Europie i na Kubie. W czasie jednej ze

swoich pierwszych podróży zagranicznych zrozumiał, jak wielkie znaczenie może mieć przesłanie spirytyzmu dla zwykłego człowieka. Dzięki pomocy przyjaciół udało mu się zorganizować wykład na jednym z uniwersytetów w Paragwaju. Po zakończeniu odczytu podeszła do niego starsza pani, by podziękować za to, że mogła wziąć udział w tym wydarzeniu: „Moje życie utraciło sens i zaczęłam się zastanawiać nad tym, by je sobie odebrać. Zupełnie przypadkiem natknęłam się dzisiaj na ogłoszenie o pana wykładzie i zdecydowałam się przyjść. Nie żałuję tej decyzji”. Clovis zrozumiał wówczas, że trud i poświęcenie dla spirytystycznego ideału przynosi owoce, a skoro udało mu się uratować choćby jedną osobę przed popełnieniem samobójstwa, gra była warta świeczki.

Jako że Clovis Portes znał bardzo dobrze język esperanto, zaczął nawiązywać kontakt z ludźmi z krajów komunistycznych. Poznał między innymi prostego robotnika z Czechosłowacji Vlado Sládečka, który dokonywał rzeczy niesamowitych. Stał się spirytystą jeszcze przed wojną, ale gdy w kraju nastał czas komunizmu, musiał stawić czoła zupełnie nowym wyzwaniom. Choć czasopisma spirytystyczne miały w Czechosłowacji nawet 10 tys. prenumeratorów, a w kongresach uczestniczyły zawsze tysiące osób, ruch spirytystyczny całkowicie zamarł, gdy spotkaniom zaczęła się sprzeciwiać ówczesna władza. Vlado się jednak nie poddał i dalej organizował potajemnie spotkania. Zaczął również tłumaczyć z esperanto na czeski teksty spirytystyczne, a następnie kopiował je w piwnicy na zakupionej od dawnego ruchu oporu maszynie. Nie miał możliwości zdobycia większej ilości papieru, gdyż w ten sposób zwróciłby uwagę milicji na swoje działania. Nabywał więc niewielkie ilości kartek i prosił



Clovis Portes (po prawej) w czasie wykładu na Węgrzech. Obok Portesa siedzi Sabadi Tibor, esperantysta i tłumacz dzieł spirytystycznych na język węgierski
Foto Arch.



Clovis Portes (drugi po lewej) odpowiada na pytania polskiej publiczności po wykładzie w Warszawie

Foto Arch.

o wsparcie znajomych, dzięki czemu mógł po godzinach spędzonych na pracy w fabryce metalurgicznej składać zeszyty spirytystyczne, rozdawane później znajomym. Trafił do więzienia przynajmniej dziesięć razy, był wraz ze swoją rodziną prześladowany, a mimo to dostrzegał potrzebę przekazywania innym przesłania płynącego z filozofii Duchów. Był to niewątpliwie przykład osoby, która robi wszystko, co znajduje się w jej mocy, by wykonywać swoją misję na Ziemi.

Dziś warto pomyśleć o Vlado Sládečku, który choć nie żyje już od kilku lat, stanowi przykład dla wszystkich osób narzekających na brak czasu, chęci i możliwości. Jak powiedział kiedyś duch Emmanuel: „Największym miłosierdziem, które możemy przekazać innym, jest głoszenie spirytyzmu”, a skoro rzeczywiście tak wiele osób odnalazło nadzieję i pociechę w książkach Kardeca i inspirację w życiu chociażby za sprawą Chico Xavier, wydaje się, że każdy spirytysta powinien wziąć sobie te słowa do serca.



Nawiedzone domy

Józef Świtkowski

(fragment dzieła: Okultyzm i magia w świetle parapsychologii)

Pod nazwą domów nawiedzonych mieszczą się (niewłaściwie) dwie odrębne grupy zjawisk, które z powodu swego podobieństwa w obu grupach wyglądają z pozoru na należące do jednego typu. Niektóre cechy charakterystyczne powtarzają się niemal we wszystkich wypadkach z jednostajnością aż do znudzenia, i to właśnie jest powodem mieszania obu grup zjawisk w jedno.

Cechą najwybitniejszą jest samorzutne powstawanie objawów bez ładu do stwierdzenia przyczyny i bez jasno określonego celu; „coś” wywołuje różne szmery, stapania i hałasy; „coś” rzuca przedmiotami, nieraz uszkadza je i niszczy, „coś” zakłóca spokój domownikom, budząc ich ze snu, szarpiąc ich za włosy lub ściągając z nich pościel. Często zjawiska te występują tylko w nocy, niekiedy zaś powtarzają się i w dzień z siłą niezminiejszą. Drugą cechą charakterystyczną jest to, że zwykle ograniczają się do terenu jednego domu lub tylko jednego mieszkania, skąd właśnie pochodzi nazwa domów nawiedzonych.

E. Bozzano (*Les phénomènes de hantise*, Paris 1920) zebrał dane statystyczne z 532 dobrze zaobserwowanych wypadków. Było wśród nich 39 takich, w których obserwowwały je prócz dorosłych także dzieci, a w 52 wypadkach zwierzęta okazywały swym zachowaniem, że widzą je na równi z ludźmi. Przyczyną zjawisk były w 374 wypadkach widma postaci ludzkich, a miejsce ich było w 180 wypadkach związane ze śmiercią gwałtowną lub innymi tragediami; natomiast w 124 wypadkach nie udało się ustalić związku miejsca z jakimiś wybitnymi zdarzeniami. Prócz zjaw



Dom rodziny Fox w Hydesville.
Foto Arch.

postaci ludzkich były w 9 wypadkach zjawy zwierząt, a w 158 wypadkach tylko hałasy i telekinezje bez zjaw widzialnych.

Myers przytacza („Proceedings”) wypadek pojawiania się postaci ludzkiej przez osiem lat; zrazu zjawa była tak dobrze „zmaterializowana”, że wyglądała jak żywa; ale w późniejszych latach stała się coraz bardziej mglista i wreszcie przestała być widzialna. Podam teraz kilka przykładów charakterystycznych.

Tak na przykład w rodzinie T. w West Brompton (Londyn) słyszeć było stąpania, trzaskanie drzwiami tam, gdzie żadnych drzwi nie było lub były zamknięte na klucz; hałas jak gdyby taca blaszana toczyła się po schodach, szmer zapalek pocieranych, chociaż ich w tym miejscu nie było. W innym domu dochodziły hałasy z piwnicy, jak gdyby toczono mnóstwo beczek i składano deski na stos; gdy jednak domownicy sprawdzali to zejściem do piwnicy, wszystko było nieruszone. Drzwi zamykały się z hałasem, słyszeć było ciężkie kroki na schodach, ale nikogo nie spostrzegano. Dopiero później dała się widzieć postać mglista, która nawet jednego z domowników dotknęła zimną ręką, a odtąd pojawiała się częściej¹.

¹ „Proceedings” III, s. 135, oraz VI, s. 276.

Generał Campbell notował (1882) codziennie występujące zjawiska; najczęściej były to trzaski tak głośne, jak przy przełamywaniu deski, czasem także dźwięki dzwonek, zwykle po trzy, powtarzane na życzenie. Czasami także słyszał było cichy płacz i niewyraźne wołanie generała po imieniu².

Panna W.B. w Road zauważyła, że drzwi otwierały się przed nią same, nim zdążyła ująć za klamkę; nieraz liczni świadkowie słyszeli łkania, westchnienia i długie jęki o różnych porach dnia, stąpania po podłodze, skakania i brzęczenie szyb w oknach, co nawet psa przejmowało wielką trwogą. Raz w nocy zbudził pannę W. wiatr lodowaty i głośne łkania; coś rozsunęło zasłony jej łóżka i szarpało ją za włosy, miała przy tym znane wielu ludziom wrażenie czyjejś obecności, że ktoś na nią patrzy³.

Pan de X. odziedziczył zamek T. obok Caen w Normandii. Nie zważając na krążące o zamku niesamowite opowieści, zamieszkał w nim i przez trzy miesiące był świadkiem zjawisk, które co dnia szczegółowo zapisywał. Oto notatki zdarzeń jednej nocy:

„Godzina pierwsza; słysząc 12 uderzeń z towarzyszeniem bębnienia, potem 30 uderzeń szybkich i osobliwych, jak gdyby wstrząśnienie całego domu. Na wszystkich piętrach udano się już na spoczynek, gdy nagle słysząc hałaśliwy galop konia. Trwało to wszystko 5 minut, po czym nastąpiła minuta ciszy. Następnie znowu dom zatrzęsł się cały od góry do dołu i zagrzmiało 10 wściekłych uderzeń w drzwi zielonego pokoju. Potem 12 okrzyków z zewnątrz, trzykrotne beczenie capa i wściekły wrzask. Dalej następuje 50 rytmicznych uderzeń w przedsionku. O godzinie 1:30 cały dom wstrząsa się 20 razy, następują tak szybko po sobie uderzenia, że zliczyć ich nie można. Mury i meble drżą od nich, dziewięć nowych strasznych uderzeń w drzwi zielonego pokoju i bębnienie z towarzyszeniem silnych uderzeń. W tej chwili słysząc donośny ryk byka, potem inne, nieludzkie, pełne wściekłości okrzyki w korytarzu. Rozlega się dzwonięcie moje, aby obudzić służbę. Gdy wszyscy są na nogach, słysząc jeszcze dwukrotne beczenie i jeden krzyk.

² „Proceedings” V, s. 477.

³ „Proceedings” III, s. 115.

Wezwano kilku księży, którzy dokonali rytualnych egzorcyzmów. Zjawiska osłabły nieco, ale nie ustały” (Przytaczam to z dzieła dr. Charlesa Richeta: *Traité de métapsychique*, s. 442.)

Panna Berta B. obudziła się nagle i usłyszała lekkie stąpania nóg bosych, idących ku niej od pokoju babki; jasna mgła przeszła tuż obok jej łóżka i skierowała się ku babce, przy czym powiał zimny wiatr o przenikliwej woni świec i trupa. Matka panny B. zapytała zaraz, czy babka śpi (spała jednak), a silny wielki pies uciekł pod łóżko z sierścią zjeżoną. Gdy go wreszcie ośmielono do wyjścia, był cały mokry od potu. Następnej nocy obserwowały wszystkie trzy kobiety wraz z psem to samo zjawisko, a na trzecią noc widział je także ojciec panny B.; zgasiła mu świeca, gdy postać przechodziła obok niego i z cichym jękiem przemknęła ku drzwiom wejściowym⁴.

W Neuried (Bawaria) u gospodarza wiejskiego zaczęły się niezwykle objawy, jak pukania, skrobania, zmiana miejsca przedmiotów martwych, znikanie ich, co miało miejsce zwłaszcza o zmierzchu; opinia wsi łączyła je w związek przyczynowy ze śmiercią pewnego wieśniaka, który miał utrzymywać stosunki z żoną gospodarza, a w październiku 1925 roku popełnił samobójstwo. Na miejsce udała się z Monachium komisja parapsychologów, złożona ze Schrenck-Notzinga, prof. Grubera, p. Hildebranda i medium Wilhelma Schneidera (z własnej ciekawości).

Komisja stwierdziła z opowiadań świadków, że objawy miały rzeczywiście miejsce od pewnego czasu, a składały się na nie skrobania i pukania w sprzęty (nieraz przez całą noc), przenoszenia dzbanków z półek na podłogę, podnoszenie stołu, znikanie kluczy i znajdowanie ich w szafach zamkniętych, oraz rzucania różnymi przedmiotami w kierunku pomocnicy domowej, piętnastoletniej Anny.

Zrobiono seans (w ciemności) i już po 10 minutach zaczęły się pukania, powtarzane w takim rytmie, jakiego życzyli sobie badacze, bądź to w stół (o 2 metry od Anny), bądź w pobliżu badacza, przy czym Anna siedziała apatyczna, w półtransie, skarżąc się na sztywnienie karku i nudności. Skurczów i drgań synchronicznych z pukaniem nie zauważono u niej, zachowała również dokładną pamięć wszystkiego, co było na seansie. Ważnym stwierdzeniem dr. Schrenck-Notzinga było to, że Anna mimo

⁴ „Psychic Science” XXIII, s. 255.

dobrego rozwoju fizycznego jeszcze nie miała *menses*, a gdy po kilku miesiącach wystąpiły, skończyły się równocześnie wszystkie objawy⁵.

Jakkolwiek to do rzeczy nie należy, wspomnę tu o obserwowanym przez Schrenck-Notzinga zachowaniu się medium Willy Schneidera na tym seansie. Początkowo siedział dość daleko, ale z chwilą rozwinięcia się objawów przysunął się do Schrenck-Notzinga, chwycił go w przerażeniu za ramię i zapowiadał (mimo zupełnej ciemności), co nastąpi. Oto „na podłodze porusza się jakaś szara mgła węzowo, wznosi się pod stół... O, teraz jest koło p. Hildebranda... (słysząc koło niego pukania), teraz sunie się ku nam, wznosi się do pana (znowu pukania). Teraz już nic nie widzę” (pukania ustały). Nieraz już próbowano seansu z dwoma lub trzema mediami (bracia Schneider seansują trzej naraz, a nawet jeszcze z rodzicami, którzy także mają te zdolności) i otrzymywano bądź wzmoczenie objawów, bądź też wyniki gorsze niż z jednym medium, gdy właściwości mediów nie były z sobą zestrojone⁶. Ochorowicz brał swą jasnowidzącą na seanse z medium Palladino, aby mu opowiadała, co widzi przed wystąpieniem widomym objawów, i zawsze zapowiadała je trafnie, a nieraz dorzucała jakąś cenną obserwację lub ostrzeżenie.

Wracam teraz do tematu. Przykład ostatni z wyżej przytoczonych różni się od poprzednich niewiele co do objawów, są bowiem i w nim hałasy, stukania, ruchy przedmiotów; nie ma tylko jęków, mglistych postaci i lodowatego powiewu. Różni się natomiast od poprzednich tym, że w tamtych objawy zdają się być niezależne od jakiegoś określonego medium, a w ostatnim – właśnie dzięki gruntownej znajomości tych zagadnień przez badacza – medium takie (w osobie Anny) odkryto. Czy jednak możliwe są objawy bez medium?

Każdy człowiek posiada w pewnym stopniu uzdolnienia medialne i nawet bez zdecydowanego medium można wywołać np. telekinezę stolika. Znany jest aż do zbytku wszystkim parapsychologom ów powiew zimny⁷, który wskazuje, że medium „zabiera” coś z organizmów obecnych

⁵ „Zeitschrift für Paraps.“ 1926, s. 35.

⁶ Byłem na seansie z Niutą G. i Stasiem Z., ale nieudany, gdyż naprzemian to jedno to drugie medium wpadało w trans, budząc tym drugie, które już było uśpione.

⁷ Czyli *soffio freddo* (wł.) – zimny powiew występujący bardzo często samo-

i z tego czegoś gromadzi sobie zapas „siły” do wywoływania objawów. Otóż do stałego niemal programu w domach nawiedzonych należy „wiatr lodowaty”, występujący także i wtedy, gdy obecnych nie można posądzać o jakieś kojarzenia wyobrażeń z „zimnym grobem” lub „lodowatym tchnieniem śmierci”.

Właśnie ów zimny powiew, występujący w łączności ze zjawiskami w domach nawiedzonych, wyjaśnia, skąd się bierze „siła” do wywoływania objawów, skoro nie ma żadnego medium na miejscu. Wrażenie zimna pochodzi stąd, że „ktoś” – kogo na razie bliżej nie znamy – zabiera z osób obecnych na miejscu ową „siłę”, potrzebną mu do objawów. Im więcej jej potrzebuje i im szybciej ją zabiera, tym wybitniejsze jest to wrażenie zimna, wzmagające się nieraz aż do wrażenia wichru lodowatego.

Kim jest ten „ktoś”, zabierający „siłę” z obecnych bez zapytywania ich o pozwolenie, o tym parapsychologia jako nauka doświadczalna nic nie orzeka. Stwierdza tylko, że w większości wypadków da się wprawdzie odkryć jako medium ktoś z obecnych, ale w niektórych wypadkach nie znalazła żadnych podstaw do wnioskowania, jakoby to była podświadomość jednej z osób obecnych. Zdarza się często, że ten „ktoś” działa z pewną inteligencją i w pewnym celu; że np. orientuje się dobrze w rozkładzie mieszkania, a nawet w zawartości takich sprzętów, jak szafy i skrzynie⁸.

Nieraz jego zachowanie wygląda tak, jak gdyby do spełnienia powziętego zamiaru stał na przeszkodzie brak sił lub brak odpowiedniego or-



Józef Świtkowski
Foto Arch.

dzielnie na seansach spirytystycznych, dający się odczuć najczęściej na rękach i twarzy uczestników sesji. Taki sam zimny powiew występuje podczas magnetyzowania. *Soffio freddo* badał Julian Ochorowicz w doświadczeniach z Eusapią Palladino. Zjawisko zauważyli również znakomity badacz brytyjski, prof. William Crookes i prof. Butlerow – przyp. red.

⁸ Zgodnie z teorią spirytystyczną w podobnych przypadkach możemy mieć do czynienia z manifestacją duchów osób zmarłych lub ducha samego medium – przyp. red.

ganizmu. Nieraz znowu zachowanie jego wywiera wrażenie automatycznego, niezupełnie świadomego; powtarza co noc jednakie ruchy, wydaje jednakie głosy, chodzi po pokojach tą samą drogą, jak gdyby czegoś szukał, ale zapomniał czego szuka, lub co ma zrobić.

Jest poza tym liczna grupa zjawisk, które nie dadzą się odnieść do żadnej określonej inteligencji, a materiału – można przypuścić – dostarczają osoby będące świadkami zjawiska. W każdej niemal rodzinie starsi jej członkowie mogą przytoczyć wypadki, w których jakaś nieznana przyczyna spowodowała działanie mechaniczne, mające przygotować obecnych na bliski zgon któregoś z członków rodziny, lub zawiadomić ich już o jego śmierci.

Do najczęstszych należą objawy, że niezeepsuty zegar wcale przestaje nagle iść, że spada ze ściany obraz, chociaż zawieszenie jego nie jest uszkodzone, że pęka szklanka lub szyba okienna, że dzwonki zaczynają same dzwonić. Przeważnie występuje to w otoczeniu rodziny umierającego, czasem także w miejscach oddalonych.

W dość wyraźnym przeciwieństwie do tego stoi charakter objawów w wypadkach, w których prędzej czy później da się odkryć uzdolnienie medialne u jednej z osób obecnych przy objawach. Trudniej jest wtedy znaleźć jakąś choćby na pół zrozumiałą celowość zjawisk, a przeważa właśnie charakter ich bezmyślny, nawet psotny i złośliwy. Owe pukania, drapania, przenoszenia przedmiotów z miejsca na miejsce i rzucania ich w kierunku medium są jeszcze stosunkowo niewinne, chociaż bezmyślne; bywają jednak objawy znacznie gorsze, jak zrzucanie z półek naczyń porcelanowych i szklanych, rozdzieranie odzieży w skrzyniach zamkniętych, nawet podpalanie jej tamże, niszczenie zapasów żywności przez mieszanie jej z piaskiem i wylewanie naczyń.

Nieraz – jak np. u głośnej Eleonory Zugun – cała złośliwość objawów zwraca się przeciw osobie medium: pojawiają się na jej ciele wyraźne ślady ukąszeń i zadrapań, nieraz aż do krwi; „coś” rzuca nią o ziemię lub rzuca w nią przedmiotami ciężkimi, pozostawiającymi na jej ciele sińce bolesne. Owo coś, zwane przez małą Eleonorę „dracu” (diabeł), wymagało nawet od niej pożywienia, a gdy na szafie lub na gzymsie kominka

zostawiała dla „dracu” ciastka i czekoladę, łakocie te znikwały w sposób niezauważony⁹.

We wszystkich niemal wypadkach, w których odpowiednio prowadzonymi badaniami udawało się odkryć spośród domowników osobę, dostarczającą – bezwiednie oczywiście – siły do objawów, okazywało się, że medium tym jest dziewczyna lub chłopiec w wieku od lat dziesięciu do siedemnastu, a zatem w okresie dojrzewania płciowego. Wygląda to tak, jak gdyby budzące się do działalności popędy nie mogły jeszcze znaleźć sobie właściwej drogi fizjologicznej i wyładowywały się w zjawiskach parafizycznych nieuregulowanych, bezmyślnych, nawet niszczycielskich. Taka spontaniczna medialność trwa zwykle niedługo i po pełnym wykształceniu się popędu płciowego zanika najczęściej; czasem jednak jest to tylko początek dłuższego okresu, w którym medialność, wprowadzona już eksperymentami w normalne koryto, utrzymuje się stale na jednakim poziomie lub rozwija się coraz wspanialej.

⁹ „Zeitschrift f. Paraps.” 1927, s. 15.



Cuda i nauka nowoczesna

Alfred Russel Wallace

Cud określa się pospolicie jako pogwałcenie lub zawieszenie prawa przyrody; ponieważ zaś prawa te są najdokładniejszym wyrazem nagromadzonych doświadczeń rodzaju ludzkiego, przeto Hume był zdania, iż żadna mnogość świadectw ludzkich nie może udowodnić cudu. Strauss całą argumentację swego pracowitego dzieła opiera również na tej samej podstawie, iż żadna ilość świadectw ludzkich, dochodzących naszego czasu aż z głębi osiemnastu stuleci, nie może dowieść, żeby obalonymi były kiedykolwiek owe prawa, których niezmiennność wykazuje nam obecnie doświadczenie jednoznaczne. Nauka nowożytna umieściła ów argument na podstawie szerszej, wykazując współzależność wszystkich tych praw i czyniąc rzeczą nie do pojęcia to, aby siła i ruch, tak samo jak materia, mogły powstać z bezwzględnej nicości, lub też bezwzględnemu mogły ulec zniszczeniu. Prof. Tyndall w nowym swym artykule o Układzie Wszechświata w „Fortingthly Review” powiada: „cud daje się ściśle określić jako pogwałcenie prawa zachowania energii¹. Stworzenie albo unicestwienie materii byłoby uważane za cud przez wszystkich. Stworzenie albo unicestwienie energii byłoby również cudem dla tych, którzy rozumieją zasadę jej zachowania”. Mr Lecky w wielkim swym dziele *O racjonalizmie* wykazuje nam, że w ciągu ostatnich dwóch albo trzech stuleci ciągle wzmagало się usposobienie do przyjmowania świeckich raczej, nie zaś teologicznych poglądów w historii, polityce, w nauce. Wielkie

¹ To mniemane określenie cudu jest prostą dowolnością. Cuda nie każą bynajmniej domyślać się jakiegoś „pogwałcenia prawa zachowania energii”, lecz tylko istnienia tworów rozumnych, niewidzialnych dla nas, a jednak zdolnych do oddziaływania na materię, jak to wyjaśnione zostanie poniżej.

odkrycia fizyczne ostatnich dwudziestu lat wysunęły naprzód ów ruch z szybkością jeszcze większą, w umyśle zaś ludzi wykształconych zrodziły przekonanie, że wszechświat rządony jest rozległymi i niezmiennymi prawami, w dziedzinie których można sklasyfikować wszystkie jakiekolwiek zjawiska i którym żaden fakt w przyrodzie nie może nigdy przeczyć. Jeżeli przeto określimy cud, jako przekroczenie któregośkolwiek z owych praw, to potrzeba uznać, iż w nauce nowoczesnej nie masz dla niego miejsca. Nie możemy też dziwić się, widząc owe liczne i różnorodne usiłowania pisarzy o poglądach bardzo odmiennych w celu wytłumaczenia lub wyjaśnienia wszystkich zapamiętanych przez historię albo religię faktów, które – jak sądzą oni – mogłyby się zdarzyć jedynie w przypuszczeniu jakiegoś cudownego czyli nadprzyrodzonego działania. Zadanie to nie było bynajmniej łatwe. Ilość świadectw, bezpośrednio mówiących na korzyść cudów, była po wszystkie wieki bardzo znaczna. Wiara w cuda aż do czasów ostatnich była prawie powszechna i można utrzymywać bez obawy, że pomiędzy tych, którzy na podstawie ogólnej najmocniej przekonani są o niemożliwości wydarzeń, poczytywanych za cudowne, niewielu lub może nikt nawet nie zbadał uczciwie i starannie przyrody i doniosłości dowodów, przemawiających na korzyść rzeczywistości owych wydarzeń. Przedmiotu tego jednakże teraz roztrząsać nie będę. Zdaje mi się, iż sama podstawa całego zagadnienia była w pewnej mierze przedstawiana i rozumiana opacznie oraz że w każdym dokładnie autentycznym wypadku domniemanego cudu można znaleźć takie rozwiązanie, które usunęłoby wiele spośród naszych trudności.

Jeden wspólny błąd cechuje, jak sądzę, wszystkie dowody sprzeciwiające się faktom uważanym za cudowne, kiedy sądzimy, iż *gwałcą* one, *przekraczają* lub *podkopują* prawa przyrody. Jest to właśnie przypuszczanie, iż sama istota sprawy została rozstrzygnięta, skoro bowiem fakt sporny zdarzył się istotnie, to mogło się to stać nie inaczej, jak w zgodzie z prawami przyrody, gdyż jedynie dokładne określenie „praw przyrody” jest takie, iż są to prawa, które rządzą wszystkimi zjawiskami. Samo słowo „nadprzyrodzony” w zastosowaniu do faktu jest niedorzecznością, zaś słowo „cud”, jeśli je zgoła zatrzymamy, wymaga określenia ściślejszego niż to, jakie mu dawano dotychczas. Nie chcąc uznawać tego, co w każdym innym wypadku byłoby bezwzględnie przekonującym dowodem faktu, dlatego

tylko, iż owo coś nie daje się wytłumaczyć na podstawie takich praw przyrody, jakie poznaliśmy dotąd, jest to w istocie utrzymywać, że posiadamy już dokładną znajomość owych praw, oraz że możemy określić z góry, co jest możliwe, lub też niemożliwe. Cała historia postępu wiedzy ludzkiej wskazuje nam, że to, co dla jednego wieku jest cudem budzącym spory, staje się dla wieku następnego uznanym zjawiskiem przyrodzonym, oraz że wiele pozornych cudów było następstwem działania prawa przyrody, które później odkryto.

Wiele zjawisk najprostszych wyda się czymś nadprzyrodzonym ludziom o wiedzy ograniczonej. Lód i śnieg łatwo mogą wydać się czymś cudownym mieszkańcom okolic zwrotnikowych. Wznoszenie się balonu byłoby rzeczą nadprzyrodzoną dla osób, które nie wiedzą nic o przyczynie ruchu wstępującego; możemy też pojąć łatwo, że gdyby żaden gaz lżejszy od powietrza nie był nigdy odkryty oraz gdyby w umysłach wszystkich ludzi (włączając tu filozofów i chemików) powietrze zespoliło się nierozdzielnie z wyobrażeniem najlżejszej formy materii ziemskiej, to świadectwo tych, którzy by widzieli wznoszenie się balonu, nie znalazłoby wiary na tej podstawie, iż potrzeba by było zawiesić prawo przyrody, aby cokolwiek mogło się swobodnie wznosić w atmosferze, wyraźnie na przekór prawu ciężenia.

Przed wiekiem telegram przychodzący z odległości 3000 mil albo fotografia zdjęta w ciągu sekundy, nie byłyby uważane za rzecz możliwą i nie uwierzyłby w nie na podstawie jakichkolwiek świadectw nikt oprócz nieuków i ludzi przesądnych, wierzących w cuda. Przed pięciuset laty działanie dzisiejszego teleskopu i mikroskopu uważano by za cudowną rzecz, i gdyby tylko o istnieniu ich w Chinach lub Japonii opowiedzieli podróżnicy, nie uwierzono by im z pewnością. Możliwość bezkarnego zanurzania ręki w metalach roztopionych jest ciekawym przykładem działania prawa przyrodzonego, które zdaje się gwałcić inne prawa przyrodzone; jest też to wypadek, który z pewnością mógł być i prawdopodobnie był uważany za cud. Jest to fakt, któremu wierzone lub nie wierzone, nie odpowiednio do ilości lub jakości świadectw, lecz stosownie do łatwowierności lub wyższej wiedzy słuchacza. Przed dwudziestu mniej więcej laty ten fakt, że operacje chirurgiczne można wykonywać na pacjentach pogrążonych w stanie mesmeryzmu, nie budząc w nich świadomości bólu, podlegał

najżywszym zaprzeczeniom ze strony uczonych i lekarzy angielskich, pacjentów zaś, a niekiedy operatorów oskarżano o szalbierstwo. Mniemano, iż zjawiska owe przeciwne były prawom przyrody. Dzisiaj prawdopodobnie każdy człowiek inteligentny wierzy w te fakty; widoczne też jest, iż musi istnieć jakieś prawo, dotąd nieznane, którego one są następstwem. Kiedy Castellet zawiadomił Réaumura, iż wyhodował doskonale jedwabniki z jajek, złożonych przez ćmę dziewiczą, odpowiedź tamtego brzmiała: *ex nihilo nihil fit*² – faktowi zaś nie uwierzono. Był on przeciwny jednemu z najpowszechniej i najlepiej ustalonych praw przyrody. Jednakże dzisiaj cieszy się uznaniem ogólnym, mniemane zaś prawo przestało być powszechnym. Tych kilka przykładów pozwoli nam zrozumieć, w jaki sposób niektóre z tak zwanych cudów mogłyby być następstwem jakichś jeszcze niepoznanych praw przyrody. Tak mało wiemy o tym, czym jest istotnie siła nerwowa lub życiowa, jak ona działa lub działać może oraz w jakim stopniu może się udzielać od jednego człowieka drugiemu, iż byłoby zaiste wielką porywcznością utrzymywać, że w żadnych warunkach wyjątkowych nie mogą się ukazywać zjawiska, tak na pozór cudowne, jak leczenie wielu chorób, albo też, że postrzeganie (percepcja) nie może podążać żadną inną drogą, jak tylko zwyczajnym torem naszych zmysłów.

Aby uwydatnić sobie, jak stopniowe jest przejście od rzeczy przyrodzonych do cudownych, oraz jak o wierzeniach naszych stanowią raczej idee z góry powzięte, nie zaś dowody, weźmy jeszcze parę następnych przykładów.

Przed kilku laty ukazało się w „London Medical Times” sprawozdanie z doświadczenia z czterema Rosjanami skazanymi na śmierć. Kazano im spać w łóżkach, na których, o czym nie wiedzieli, zmarli przedtem chorzy choleryczni podczas epidemii. Otóż ani jeden ze skazanych nie dostał tej choroby. Następnie powiedziano im, iż muszą spać w łóżkach pacjentów cholerycznych, lecz w istocie dano im całkiem czyste i zdrowe. Jednakże trzech spośród nich dostało teraz napadów cholery w jej postaci bardziej złośliwej i umarli w przeciągu czterech godzin.

Przed dwustu mniej więcej laty Valentin Greatrak leczył ludzi na różne choroby, głaszcząc ich tylko ręką. Wiel. dr R. Dean zdając o tym sprawę na podstawie spostrzeżeń osobistych, powiada: „Byłem przez trzy tygo-

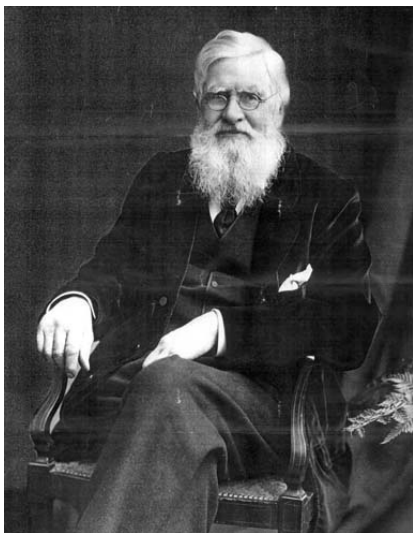
² (łac.) nic nie powstaje z niczego – przyp. red.

dnie razem z nim i widziałem, jak wkładał ręce na 1000 (jak sędzę) osób. Istotnie jest w tym coś przekraczającego rzeczy zwykłe, lecz przekonany jestem, iż nie było w tym cudu. Widziałem głuchotę wyleczoną przez jego dotknięcie, widziałem, jak ciężkie dolegliwości, ciągnące się przez wiele miesięcy, ustępowały w przeciągu kilku dni; widziałem jak usuwał zatwardzenia i zatknięcia, jak rozpędzał rakowate narośle na piersiach”. Bardziej szczegółowe zeznanie tego naocznego świadka o wzniosłym charakterze i wielkich zdolnościach jest zdumiewające, lecz nie może być tu przytoczone.

Otóż spomiędzy tych dwu przykładów pierwszy znajdzie wiarę, drugi zaś nie. O pierwszym przypuszczać się będzie, iż jest naturalnym skutkiem „imaginacji”, o drugim będzie się utrzymywało, iż ma w sobie coś z natury cudu. Jednakże przypisywać jakiś określony skutek fizyczny imaginacji jest to tylko konstatować fakty oraz maskować zupełną naszą nieznaną rządzących nimi praw i przyczyn. Utrzymywać zaś, iż żadna własność lecznicza nie może się zawierać w wielokrotnym dotykaniu jakiejś szczególnie ukonstytuowanej istoty ludzkiej, podczas kiedy analogia uznanych faktów mesmeryzmu wskazuje nam, jak potężnymi i ciekawymi są wzajemne oddziaływania istot ludzkich – byłoby to, jak się zdaje, rządzić się w znacznej mierze uprzedzeniem wobec naszej zupełnej prawie nieznaną stosunku ducha do ciała.

Zarzuca tu nam jednak, iż jedynie najmniej istotną klasę cudów można jako tako wytłumaczyć w ten sposób. W wielu wypadkach utrzymywano, iż materia martwa bywała obdarzona siłą i ruchem albo też, że nagle powiększały się niezmiernie objętość jej albo waga; rzeczy całkiem niezemskie miały ukazywać się na ziemi, zaś regularny przebieg wielkich zjawisk przyrody bywał, jak mówią, nagle zakłócony. Otóż, jedną z cech większej części tej klasy domniemanych cudów jest to, iż – jak się zdaje – każą one przypuszczać działanie potęgi i umysłowości innej aniżeli cudotwórcza władza osobnika, której pospółstwo cuda owe przypisywało. Jednym z najbardziej pospolitych i najlepiej stwierdzonych spośród tych zjawisk jest poruszanie się rozmaitych ciał stałych wobec wielu świadków, ale bez żadnej, dającej się wykryć przyczyny. Przy czytaniu odnośnych sprawozdań, pisanych przez świadków naocznych, natrafiamy często na jeden mały szczegół, a mianowicie, że przedmiot zdaje się być rzucanym

lub zdaje się padać nagle, a jednak opuszcza się łagodnie i bez łośkotu. O tym ciekawym szczególe można znaleźć wzmianki w dawnych badaniach czarownic, jak również w sprawozdaniach o najnowszych zjawiskach spirytyzmu; w uderzający też sposób nasuwają one myśl, że przedmioty owe są unoszone przez jakiegoś sprawcę niewidzialnego. Aby więc uczynić takie rzeczy zrozumiałymi lub możliwymi ze stanowiska wiedzy nowożytnej, musimy uciekać się do przypuszczenia, iż mogą istnieć twory rozumne, mogące oddziaływać na materię, jakkolwiek niedostępne bezpośredniemu poznaniu naszych zmysłów.



Alfred Russel Wallace
Foto Arch.

Okoliczność ta, że dokoła i pośród nas mogą przebywać istoty rozumne, niedostrzegane przez nas w ciągu całego naszego życia, a jednak mogące, w pewnych warunkach, dawać nam znać o swojej obecności, działając na materię – okoliczność ta wyda się niektórym rzeczą nie do pojęcia, zaś w bardzo wielu obudzi wątpliwość; co do nas jednak, to poważymy się oświadczyć, iż nikt z ludzi, znających najnowsze odkrycia i spekulacje najwyższej wiedzy nowożytnej, nie będzie przeczył takiej możliwości. Trudność, jaką przedstawia owa koncepcja, będzie już natury całkiem innej niż to, co nie pozawala nam uwierzyć w możliwość cudów, gdy je określamy jako pogwałcenie owych wielkich praw przyrody, których bezwzględności i niezmienności usiłuje dowieść cała nauka nowoczesna. Istnienie istot czujących, lecz niepoznawalnych dla naszych zmysłów, tak samo nie gwałciłoby owych praw, jak nie gwałciło ich odkrycie istotnej przyrody pierwotniaków, owych budowy pozbawionych, galaretowych ustrojów, zdradzających przed nami tak wiele spomiędzy objawów życia zwierzęcego, pomimo iż nie posiadają owego zróżnicowania części czyli specjalizacji narządów, jakich zdają się domagać niezbędne funkcje tegoż życia. Gdyby dowiedziono istnienia takich umysłowości nadludzkich,

byłoby to tylko nowym, a bardziej uderzającym niż inne, przykładem tego, jak nieznaczną część wielkiego Kosmosu mogły nam dać poznać nasze zmysły. Nawet tacy sceptycy w sprawie rzeczy nadprzyrodzonych, jak Hume albo Strauss, nie przeczyliby prawdopodobnie prawomocności koncepcji takich istot albo też abstrakcyjnej możliwości ich istnienia. Powiedzieliby oni może: „Nie mamy dostatecznych dowodów na korzyść owego faktu, trudność pojęcia sposobu ich bytowania jest wielka; najrozumniejsi ludzie spędzają życie w zupełnej niewiedzy o istnieniu takich niewidzialnych umysłów; wiara w nie panuje tylko wśród nieuków i ludzi przesądnych. Jako filozofowie, nie możemy przeczyć możliwości tego, o czym pan mówisz, ale musimy mieć najjaśniejszy i najbardziej zadowalający dowód, zanim uznamy to za rzecz faktyczną”.

Ale można utrzymywać, że gdyby nawet istoty takie egzystowały, mogłyby one składać się jedynie z jak najbardziej rozpięchłych i subtelnych form materii. W jakiż więc sposób mogłyby działać na ciała ciężkie, jak byłyby w stanie sprawadzać skutki, dające się w zupełności porównać z tym, co stanowi treść tak wielu domniemyanych cudów? Wobec zarzutów tego rodzaju, można byłoby przypomnieć, że wszystkie najpotężniejsze i najbardziej powszechne siły przyrody przypisuje się obecnie drobnutkim drganiom pewnej prawie nieskończonej rozcieńczonej formy materii, oraz że za sprawą najwyższych uogólnień wiedzy nowożytnej, najróżnorodniejsze zjawiska przyrody zostały sprowadzone do działania rzeczonych sił. Światło, ciepło, elektryczność, magnetyzm, a prawdopodobnie życiowość i ciężenie, są jak mniemamy dzisiaj, tylko pewnym „rodzajem ruchu” eteru wypełniającego przestrzeń. Nie ma też ani jednego objawu siły albo wykwitu piękna w przyrodzie, który by nie pochodził z jednej albo drugiej z owych potęg. Cała powierzchnia kuli ziemskiej, kształtowała się wielokrotnie, góry zamieniały się na równiny, równiny zapadały się i najeżały, ustępując miejsca dolinom i górcom, a wszystko to za sprawą cieplikowych drgań eteru, wprawianego w ruch przez słońce. Żyły kruszcowe i jaśniejące kryształy, pogrzebane w kilkumilowej głębi pod skałami i górcom, wytwarzały się pod działaniem innej znowu gromady sił działających dzięki drganiom tegoż eteru. Każda trawka zielona lub jaskrawy kwiatek, rozjaśniające powierzchnię ziemi, zawdzięczają swój wzrost i życie owym drganiom, zwanym przez nas światłem i ciepłem, gdy tym-

czasem w zwierzętach i człowieku własności owego zdumiewającego telegrafu, którego baterią jest mózg, drutami zaś nerwy, są prawdopodobnie następstwem objawienia się innego jeszcze „rodzaju ruchu” w tym samym, wszechogarniającym eterze. W niektórych wypadkach możemy w sposób jeszcze bardziej bezpośredni spostrzegać skutki działania owych sił przyrody. Widzimy, jak magnes nie stykając się z żadną materią ważką, której pośrednictwo ułatwiłoby nam zrozumienie działania siły, pokonuje jednak ciężenie i bezwładność, podnosi i porusza ciała stałe. Widzimy, jak elektryczność, w postaci pioruna, roztrzaskuje twarde dęby, obala wysokie wieże i dzwonnice, lub zabija ludzi i zwierzęta, nie zadając im czasem żadnej rany. Te zaś objawy siły są następstwem działania pewnej formy materii, tak niewyczuwalnej, iż tylko ze skutków swych staje się ona dostępna naszemu poznaniu. Mając wszędzie dokoła nas podobne zjawiska, musimy przypuścić, że jeśli istnieją umysłowości jakieś, że tak powiemy eteryczne, to nie mamy żadnego powodu zaprzeczać temu, iż posługują się one owymi siłami eterycznymi, które są wezbranym źródłem, z jakiego biorą początek: wszelka siła, wszelki ruch i wszelkie życie na ziemi. Nasze ograniczone zmysły i umysł nasz pozwalają nam odbierać wrażenia i śledzić niektóre z różnorodnych objawów ruchu eterycznego, w jego fazach tak odmiennych jak: światło, ciepło, elektryczność i ciężenie; ale żaden myśliciel ani przez chwilę utrzymywać nie będzie, iż nie mogą już istnieć żadne inne sposoby działania tego pierwiastkowego czynnika. Dla rasy ludzi ślepych, jakże krańcowo niepojętą rzeczą byłaby zdolność widzenia, jakże bezwzględnie byłoby niepoznawalne dla nich samo nawet istnienie światła, oraz tysięcy objawów jego formy i piękna. Bez tego jednego zmysłu, nasze poznanie przyrody i wszechświata nie byłoby nawet tysięczną częścią tego, czym jest obecnie. W braku jego, nawet umysł nasz zmartwiałby do jakiego stopnia; musimy też wierzyć, że nasza przyroda moralna, nigdy by się nie rozwinęła całkowicie, oraz że nie osiągnęlibyśmy godności i zwierchnictwa człowieka. Jednakże, możliwe jest, a nawet prawdopodobne, że istnieją pewne rodzaje czucia, o tyle wyższe od wszystkich naszych czuć innych, o ile wzrok wyższy jest od dotyku lub słuchu.

Nauka



Doświadczenia dr. Geleya z Frankiem Kluskim

Gustave Geley

Fragmenty „Przeglądu metapsychicznego”, listopad-grudzień 1924 r.

Seans z dn. 20 czerwca 1924 r. w gabinecie Kluskiego o godz. 20.00

Uczestnicy zgromadzeni w kręgu, na prawo od Kluskiego siedzą: dr Geley, p. S. Ossowiecki, płk N. Okołowicz, kpt. dr Misiuro, dr L. Starzewski, pani A. Ossowiecka, płk St. Jan Modrzejewski.

Kontroluję prawą dłoń medium. Mój mały palec zahaczony jest na małym palcu jego prawej ręki. Moja dłoń znajduje się przy jego dłoni, a przedramię – przy przedramieniu. Moja lewa noga znajduje się w ścisłym kontakcie z jego kolanem i prawą nogą. Przez cały seans medium nie wykona żadnego ruchu.

Drzwi zamknięte są na klucz. W pomieszczeniu nie ma ani półki, ani szafy.

Wszyscy uczestnicy tworzą łańcuch. Ciemność. Dość długa chwila oczekiwania (6 do 10 minut).

Medium ma trudność, by zapaść w sen. Pokasływanie jednego z uczestników je rozprasza.

W końcu wchodzi w trans, medium głośno oddycha; jego wdech brzmi jak chrapanie.

Słyszę rodzaj szumu za medium, następnie między mną a nim. Niemal natychmiast odnoszę jasne wrażenie, że ktoś znajduje się obok. Rzeczywiście czuję dotyk ręki na moim boku, a następnie na karku.

Bardzo małe światełka pojawiają się wokół medium i ponad jego głową. Odczuwam lekki zapach ozonu, ale nie tak silny jak w czasie seansów w Paryżu.

Ponownie coś mnie dotyka w sposób wyrazisty. Czuję, jak niewielka dłoń głaszcze mnie po twarzy. Bardzo smukłe i drobne palce z małymi paznokciami szczypią delikatnie moje uszy.

Czuję dwie dłonie dotykające jednocześnie moich uszu, następnie mojej głowy i ramion.

Moi sąsiedzi z naprzeciwka, Modrzejewski i pani Ossowiecka, odczuwają również dotyk niewielkich dłoni.

Następnie widać światło unoszące się nad kadzią z parafiną, która stoi pośrodku stołu. Słysząc kilkakrotnie plusk. Dzieciące dłonie umoczone w gorącej parafinie dotykają mojej lewej dłoni. Chwilę później parafinowa rękawiczka, ciepła i jeszcze mokra, zostaje położona na mojej prawej ręce¹.

Znów słysząc chlupnięcie i druga rękawiczka, ciepła i mokra, zostaje umieszczona na mojej lewej dłoni. Moje wolne palce czują brzeg wilgotnej rękawiczki. Dotykam jej uważnie, by jej nie popsuć. Aż do zakończenia seansu moje palce znajdują się w stałym kontakcie z rękawiczkami.

Mówię „Dziękuję” w języku polskim i czuję natychmiast przyjazne klepnięcie niewielkiej dłoni na moim lewym ramieniu. Ta sama ręka chwyta moją lewą dłoń i serdecznie ją ściska. Materializacja jest doskonała. To ręka dziecka, ciepła i żywa.

Odczuwam następnie dotyk bardzo dużej dłoni na mojej głowie, plecach, a w końcu na ręce. Tym razem to normalna dłoń. Jej uścisk jest silny, jak gdyby była to ręka człowieka. To podobne uczucie.

¹ Rękawiczka i inne otrzymane w kolejnych seansach formy znajdowały się w walizeczce, którą dr Geley trzymał w ręku w czasie tragicznego lotu samolotem, który rozbił się lecąc z Warszawy. Wszystkie formy uległy zniszczeniu, a sam Geley stracił w wyniku katastrofy życie.

Pojawiają się światła, jest ich wiele: dwa, trzy, cztery naraz. Są piękne. Trzykrotnie widzę, jak światło nagle rośnie i maleje, przypomina miniaturową kometę wielkości migdału albo orzecha, a następnie znika.

Fosforyzujący ekran znajdujący się na stole po przeciwnej stronie od medium zostaje chwycony i wzniesiony wysoko.

Wkrótce dzięki oświetleniu ekranu można zobaczyć popiersie i głowę, dwie górne części ciała. Są na wysokości człowieka. Jedna z dłoni (lewa) trzyma ekran, który świeci bardzo dobrze. Na głowie znajduje się wojskowa czapka. Twarz jest młoda, drobna, postać ma małe wąsy i jasnowłosą bródkę. Przypomina młodszego brata Ossowieckiego. Jej wyraz twarzy jest niezwykle żywy. Gdy się jej przyglądam, postać podnosi prawą dłoń i salutuje tak, jak robi się to w Polsce: dwoma palcami. To samo powtarza się przed każdym z uczestników. Postać powraca do mnie i ponownie salutuje, a następnie znika, odłożywszy delikatnie ekran na stół.

Pojawia się kolejna zjawia, ona także oświetlona przez ekran. To mężczyzna z dużą brodą mający 45-50 lat.

Zwraca moją uwagę na swoją czaszkę, gdy unosi ekran. Dostrzegam, że jest łysy. Na górnej części czaszki znajduje się tak jakby olbrzymia lupa. Ale nie byłem w stanie dobrze jej zobaczyć.

Trzecia zjawia: młody brunet w kaszkiecie.

Kadź z parafiną zostaje uniesiona przez niewidzialne ręce, przeniesiona nad naszymi głowami i położona na ziemi.

Potem znów pojawiają się światła. Dwie niezgrabne ręce jednocześnie dotykają obu moich ramion. Pani O. czuje dużą, zimną dłoń.

Nagle medium zaczyna zbierać się na wymioty, po czym wydaje się mdleć.

Przenosimy je na kanapę, gdzie powraca do siebie i wybudza się powoli z transu.

Seans z 30 czerwca 1924 r.

Z prawej strony medium kontrolują: p. Przybylski, porucznik Jan Modrzejewski.

Krąg ułożony jest następująco: medium, porucznik Modrzejewski, pani Przybylska, dr Geley, płk Okołowicz, płk Zaraski, pan Przybylski.

Zostałem zaproszony na ten seans, zorganizowany specjalnie dla pana i pani Przybylskich i w żadnym momencie nie wtrącałem się w to, jak usadowione są osoby, czy też w szczegóły organizacyjne.

Powinienem najpierw podkreślić, że państwo Przybylscy stracili w 1921 r. dziewiętnastoletniego syna, żołnierza, który zmarł na skutek choroby zakaźnej. Poprosili Kluskiego, by zorganizował dla nich seans.

Klimat był zatem dobry do manifestacji postaci duchowych.

Drzwi zostały zamknięte na klucz. Jako że moje plecy skierowane są na te drzwi, znajdujące się naprzeciw krzesła, na którym siedzę, nie można było ich otworzyć tak, bym się nie zorientował. Uczestnicy tworzą łańcuch.

Seans rozpoczyna się o 22.15.

Gdy gaśnie światło, dostrzegamy, że kotara na oknie nie jest do końca zasłonięta, przez co trochę prześwituje.

Na zjawiska trzeba chwilę czekać (około 10 minut).

Dostrzegam najpierw niewielkie światło, które pojawia się nad medium i unosi się na wysokości około 1 m 50 cm do 2 m. Płynie w górę, potem w dół i coraz bardziej zbliża się do uczestników. Jego blask jest bardzo słaby.

Następnie pojawiają się silniejsze światła. Widzę naraz trzy, znajdujące się daleko od siebie.

Nagle zaczynam czuć za moimi plecami czyjąś obecność. Odczuwam, jak ręka uderza mnie w ramię, obsuwa się po moim prawym ramieniu, a w końcu ściska serdecznie moją dłoń. Palce są całkowicie zmateriałizowane, mają normalną temperaturę. To żywa dłoń.

Następnie dwie ręce chwytają mnie za głowę w okolicach uszu i delikatnie mnie klepią. To drobne, niewielkie dłonie nastolatka albo kobiety.

Chwilę później słychać w pomieszczeniu kroki. Oddalają się i kierują do biurka Kluskiego, które stoi 4 metry dalej. Słychać szelest papieru na stole, a także hałas spadających małych przedmiotów.

Światło unosi się nad nami, a następnie opada. Jeden ze świetlistych ekranów stojących na stole, przy którym prowadzone są doświadczenia, zostaje podniesiony w powietrze.

Istota, której twarz jest niewiarygodnie zmateriałizowana, posługuje się tym ekranem, byśmy mogli ją zobaczyć. Zbliża się kolejno do wszystkich uczestników i pokazuje swoją twarz z profilu.

Pułkownik Okołowicz, pułkownik Zaraski i porucznik Modrzejewski mówią jednocześnie: „To Batisti! Witaj, Batisti! Evviva l'Italia!” (Batisti był włoskim patriotą, którego Austriacy powiesili w czasie wojny).

Opowiadają mi, że ta istota pojawiła się po raz pierwszy na seansie Kluskiego zorganizowanym w czasie jego pobytu we Florencji.

Dostrzegam energiczną głowę o bardzo śniadej cerze, proste wąsy i szpiczastą brodkę skierowaną do przodu. Na głowie ma rodzaj furażerki, która wygląda, jakby była zrobiona z futra.

Gdy istota znajduje się przy mnie, proszę ją o pozwolenie, bym mógł uścisnąć jej dłoń. Łączę więc moją lewą ręką dłonie moich sąsiadów z prawej i z lewej, po czym uwalniam moją prawą rękę i wysuwam ją przed siebie.

Natychmiast chwyta ją silna dłoń i ściska bardzo serdecznie.

To mocny uścisk, jaki charakteryzuje przyjaciela.

Ekran zostaje położony wówczas na stole.

Mija pięć minut, w czasie których nie dochodzi do żadnego zjawiska. Następnie pojawiają się nowe światła. Ekran znów zostaje uniesiony.

Ukazuje się nowa postać, tak samo doskonale zmaterializowana jak poprzednia. Kieruje się najpierw do pana Przybylskiego. Ten czuje uścisk niewidzialnych rąk. Twierdzi, że w świetle ekranu rozpoznał swojego syna. Istota całuje go w czoło i policzki, a następnie w dłoń. Cały czas ją widać. Potem udaje się do pani Przybylskiej, która wydaje z siebie okrzyk zawierający w sobie tyle emocji, że manifestacja na chwilę się zatrzymuje. Chwilę potem wszystko zaczyna się na nowo. Rozpoznaje twarz jasnowłosego młodzieńca bez zarostu. Wygląda na całkowicie żywego. Postać zwraca się jeszcze w stronę pana Przybylskiego i pozostaje u jego boku przez dłuższą chwilę. Słyszę nieokreślony szep.

Ekran zostaje odstawiony na stół.

Następuje pięć minut spokoju.

Nagle błyszczące i liczne światła pojawiają się za medium. Rozszerzają się na rozmaite sposoby. Dostrzegam: rodzaj bujającego się żyrandola, prosty i bardzo wąski promień o długości ok. 50 cm, który emanuje jednorodnym światłem, a także serię prostych promieni, ponad którymi unosi się fosforyzująca mgła.

Światła przemieszczają się żywo za moimi plecami, a następnie między mną a pułkownikiem Okołowiczem.

Ktoś łapie za ekran stojący na stole. Pułkownik Okołowicz czuje czyjś uścisk. Widzę wyraźnie rękę wokół jego szyi i głowę znajdującą się obok jego głowy. Dostrzegam, jak świetlista dłoń czyni znak krzyża na jego czole.

Wzruszony pułkownik mówi, że rozpoznaje swoją matkę, a postać zbliża się do mnie i ukazuje głowę i dłonie w świetle ekranu.

Ledwie dostrzegam rysy twarzy. Głowa przykryta jest pewnego rodzaju wełnianą chustą. W tym momencie postać bierze moją prawą dłoń i prowadzi ku głowie, abym mógł dotknąć jej włosów. Mam wrażenie, że wełna jest dość twarda. Dziwny zapach wydobywa się z tej postaci: połączenie zapachu róży i ozonu.

Z dziwnym uporem postać zwraca moją uwagę bardziej na wełnianą chustę niż na swoje rysy twarzy.

Czuję, jak istota ta przechodząc za moimi plecami, podpira się na oparciu mojego krzesła, aby nie zgubić się w ciemności. Następnie wraca do Okołowicza.

Mam bardzo silne wrażenie, że to osoba żywa.

W końcu ekran zostaje odstawiony na stół i wszystko się kończy. Jest już koło północy. Medium dopada czkawka. Kończymy seans.

Kładziemy Kluskiego na kanapie.



Dr Geley (po lewej) w czasie Kongresu Metapsychicznego w Warszawie
Foto Arch.

Seans z 3 lipca 1924 r. o godz. 22.30 u Kluskiego

Uczestnicy: dr Geley, kontrolujący medium z prawej strony; pani X..., kontrolująca z prawej; pan Charpentier, M. Y.

Medium wygląda na bardzo przemęczone. Poza tym przed rozpoczęciem seansu Kluski nie czuł się zbyt dobrze, przez co choć seans zakończył się sukcesem, nie był tak dobry jak poprzednie.

Po piętnastu minutach pojawiają się światła, jak zazwyczaj. Najpierw są dyskretne, następnie przybierają na intensywności, zwiększają się i rozszerzają. Czuję jak zwykle ozon. Ale w tym samym czasie falami napływa też inny wyjątkowy zapach.

Pan Charpentier i ja zaczynamy odczuwać kontakt rąk. Dłonie, które nas dotykają, są ciepłe i wyglądają na ludzkie, czy to na dziecięce, czy to na ręce dorosłego.

Na stole doświadczalnym znajduje się kadz z parafiną. Postanowiliśmy zastąpić stosowane zazwyczaj naczynie cylindrycznym, które było wysokie na pół metra. Miałem w ten sposób nadzieję otrzymać formę ręki i całego przedramienia.

Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu zauważamy, jak świecące ręce zbliżają się od góry do naczynia, wahają się, a następnie oddalają, nie zanurzwszy się w parafinie.

W końcu palce pokryte ciepłą parafiną dotykają mnie i pana Charpentiera.

Czekamy znów nieco dłużej (kwadrans), nie słysząc pluśnięć, które towarzyszą zazwyczaj zanurzeniu dłoni w parafinie.

W końcu słyszymy oczekiwany dźwięk: parafina wylewa się z naczynia i płynie po stole na nasze nogi, które na szczęście zakryte są ręcznikami. Dwie ciepłe i mokre formy zostają złożone przy naszych rękach.

Następuje cisza.

Dochodzi wówczas do następujących po sobie manifestacji dwóch istot, które widać dzięki ekranom.

Pierwszą z postaci jest „Batisti”, mający te same cechy charakterystyczne co na poprzednich seansach.

Drugą jest znany nam polski oficer. Dostrzegam, że jego wojskowa czapka jest zadziwiająco zmaterializowana. Jestem w stanie rozpoznać jej cztery

rogi i skórzany daszek. Postać pokazuje mi te szczegóły z uporem. Chwilę potem uderza w ekran daszkiem czapki. Słyszymy odgłos uderzenia.

Jak zawsze dostrzegam żywe i naturalne rysy twarzy.

W tym momencie medium dopada czkawka i seans zostaje zawieszony.

Mam dwie uwagi dotyczące tego spotkania:

1. Dostrzegłem wahanie istot przed włożeniem dłoni do tuby z parafiną. Jest to coś zupełnie naturalnego. Zapomnieliśmy wstawić tubę do miski, aby uniknąć rozlania się parafiny w czasie tworzenia formy i ubrudzenia naszych ubrań. „Zjawy” mają więcej rozsądku niż eksperymetatorzy. Zanurzyły dłonie dyskretnie, a ja zamiast formy przedramienia, którą chciałem uzyskać, otrzymałem dwa odlewy dłoni dziecka.

2. Jestem zdziwiony uporem, z jakim postaci dążą do tego, bym uważał szczegóły ich ubioru (chusta, czapka wojskowa, toczek, guziki munduru). Wiadomo, jak trudno jest zinterpretować tworzenie się tego rodzaju efemerycznych przedmiotów. Muszę się w tym temacie jeszcze wiele nauczyć.



Sny wieszce i przeczucia

Léon Denis

Sny w wielorakich swych formach mają tylko jedną przyczynę: wyzwolenie duszy. Wychodzi ona z ciała materialnego we śnie i przenosi się na plan niższy lub wyższy wszechświata, gdzie za pomocą własnych zmysłów dostrzega istoty i rzeczy właściwe temu planowi.

Sny można rozdzielić na trzy główne kategorie:

Sen zwyczajny – czysto mózgowy, proste odbicie naszych zajęć fizycznych czy zainteresowania moralnego. Jest to również odbicie wrażeń i obrazów zgromadzonych w mózgu podczas czuwania; w braku wszelkiej kontroli świadomości lub kierunku woli rozwijają się one automatycznie lub układają w mętne sceny, pozbawione sensu i związku, które jednak pozostają w pamięci. Cierpienie w ogóle, a niektóre choroby w szczególności, ułatwiając wyzwolenie ducha, wzmagają wyrazistość i bezład snów. Duch hamowany w swym polocie, sprowadzany co chwila do ciała, nie może się wzbić. Stąd konflikt między materią, a pierwiastkiem duchowym, które wzajemnie na siebie wpływają. Wrażenia i obrazy mieszają się i zlewają.

Będąc na pierwszym stopniu wyzwolenia, duch buja w atmosferze, nie oddalając się zbyt od ciała; zanurza się w oceanie myśli i obrazów, które zewsząd napływają w przestrzeń, nasycą się nimi i czerpie stąd niejasne wrażenia, dziwne marzenia, niezrozumiałe sny. Mieszają tu się czasem wspomnienia istnień ubiegłych o tyle żywsze, o ile wyzwolenie jest pełniejsze i pozwala głębszym pokładom pamięci wejść w stan wibracji. Sny takie o nieskończonej różnorodności uwalniają czasem mózg materialny odpowiednio do stopnia wyzwolenia duszy i dlatego zachowujemy ich wspomnienia po obudzeniu.

Wreszcie idą sny głębokie, sny eteryczne. Duch wymyka się życiu fizycznemu, wyzwała z materii, przebiega powierzchnię ziemi i niezmierzoność. Odszukuje tam istoty kochane, rodziców, przyjaciół, przewodników duchowych. Czasem idzie na spotkanie dusz ludzkich, jak on wyzwolonych z ciała podczas snu. Następuje pomiędzy nimi wymiana myśli i poglądów; duch wynosi z tych rozmów wrażenia, które rzadko kiedy odbijają się w mózgu fizycznym, wskutek jego słabości wibracyjnej. Wrażenia te jednak pozostawiają ślady na jego świadomości jako przeczucie, istnieją i wpływają silniej niż mogłoby się wydawać na kierunek życia, nasze postanowienia i czyny. Stąd przysłowie: „Noc jest dobrym doradcą”.

W „Przeglądzie Spirytystycznym” z 1866 r. na s. 172 Allan Kardec opowiada o wyzwoleniu ducha młodej panienki w Lyonie podczas snu i o przybyciu do Paryża na zebranie spirytystyczne, gdzie znajdowała się jej matka. „Medium w stanie transu przenosi się do Lyonu, na prośbę obecnej damy, do mieszkania jej córki, które opisuje szczegółowo. Młoda dziewczyna śpi, a duch jej pod wodzą opiekuna duchowego zbliża się do matki, którą widzi i słucha”. I dalej: „To jest dla niej sen, mówi opiekun jej do medium, o którym nie zachowa dokładnego wspomnienia, ale zostanie jej przeczucie dobra, jakie czerpiemy z wiary stałej i czystej. Wyznaje ona matce, że gdyby w stanie normalnym mogła pamiętać poprzednie wcielenia tak jasno, jak pamięta je obecnie, nie stałaby dłużej w tym samym miejscu duchowym; poszłaby naprzód bez wahania, bo widzi jasno; tymczasem na jawie mamy przepaskę na oczach”. „Dziękuję, mówi do obecnych, że zajęliście się mną. Potem ściska swą matkę. Medium dodaje: *Jest ona uszczęśliwiona tym snem i choć go zapomni, to jednak będzie dla niej wrażeniem zbawiennym*”.

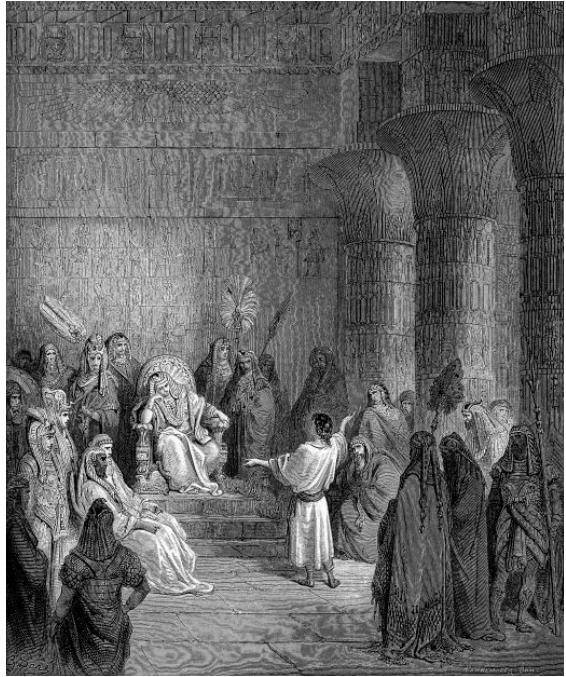
Niekiedy dusza, jeżeli jest dostatecznie oczyszczona, pod przewodnictwem duchów anielskich przenika w sfery Boskie, aż do świata, gdzie rodzą się przyczyny. Stamtąd buja ona ponad czasem i widzi roztaczającą się przeszłość i przyszłość. Jeśli jakiś odblask tych wrażeń przeniesie na swą powłokę ludzką, mogą one stanowić to, co nazywamy snem proroczym.

W ważnych wypadkach, jeżeli mózg wibruje zbyt słabo, żeby zanotować wrażenia potężne lub subtelne, doznawane przez ducha, który pragnąłby zachować po obudzeniu wspomnienie otrzymanych prześrodk, wówczas za pomocą woli tworzy on obrazy, sceny fluidyczne, wy-

obrażenia przez alegorię bardziej dostosowane do władz wibracyjnych mózgu materialnego i działaniem sugestii przerzuca je silnie na mózg. W razie potrzeby, jeżeli nie jest dość zręczny, wzywa do pomocy duchy bardziej rozwinięte; sen wówczas przybiera postać alegorii. Pośród snów tego rodzaju można wspomnieć sen Faraona, wytłumaczony przez Józefa¹.

Wiele osób miewa sny alegoryczne. Nie zawsze oznaczają one wrażenia, otrzymane bezpośrednio przez ducha osoby śpiącej; najczęściej są to objawienia, pochodzące od dusz stojących przy nas na straży.

Będąc poważnie chorym i prawie skazanym na śmierć, sam otrzymałem pod przeniósnią zapowiedź wyzdrowienia. We śnie przebywałem z wielkim trudem drogę zawałoną gruzami; im dalej szedłem, tym większe napotykałem trudności. Nagle zagroził mi drogę głęboki i szeroki potok i zmusił mnie do zatrzymania. Pełen niepokoju usiadłem na brzegu; z drugiego jednak brzegu ręka niewidzialna pokierowała do mnie deskę, której krawędź opuściła się u moich stóp. Wystarczyło oprzeć ją mocno i przejść po niej na drugą stronę. Tam droga była wolna od przeszkód i pewnym już krokiem podążyłem wśród rozświetlonej wsi. A oto znaczenie snu: dowiedziawszy się w jakiś czas później od kobiety, pogrążonej w śnie magnetycznym, co jest przyczyną mojej choroby, której żaden doktor nie mógł odnaleźć i otrzymawszy w ten sam sposób lekarstwo, odzyskałem powoli zdrowie i mogłem powrócić do przerwanych prac.



¹ ks. Rodzaju X, 38; XI, 5, 12; XXXII, 5, 10.



Dosyć często stwierdzamy w snach zjawisko przepowiadania, czyli zdolności, jaką niektórzy wrażliwi ludzie posiadają do oglądania we śnie rzeczy przyszłych. Liczne są tego przykłady historyczne:

Plutarch (*Żywot Juliusza Cezara*) podaje sen proroczy Kalpurnii, żony Cezara. Widziała ona w nocy spisek Brutusa i Kassiusa, morderstwo Cezara i starała się przeszkodzić Cesarowi w jego zamiarze pójścia do senatu. Widzimy także u Cyncerona (*De divinatione*, I, 27) sen Symonida; u Waleriusza Maksyma (VII, 18) sen wieszczcy Ateriusa Rufusa i (VII, II, 4) sen Krezusa, zapowiadający śmierć jego syna Athysa.

W swych komentarzach Montlue przytacza, że w wigilię wypadku dowiedział się we śnie o śmierci króla Henryka II, przebitego lancą na turnieju przez Montgommery. Sully w swych pamiętnikach (VII, 383) twierdzi, że Henryk IV miał przeczucie, iż będzie zamordowany w karcie. Można przytoczyć na potwierdzenie i świeższe wypadki:

Abraham Lincoln śnił, że znajdował się wśród śmiertelnej ciszy, przerywanej tylko szlochaniem; podniósł się, przeszedł kilka sal i ujrzał

wreszcie katafalk, a na nim ciało okryte kirem, strzeżone przez żołnierzy i otoczone płaczącym tłumem. „Któż to umarł w Białym Domu?” – zapytał Lincoln. „Prezydent – odpowiedział żołnierz. – Zamordowano go”. W tej chwili przeciągły okrzyk tłumu wyrwał go ze snu. Niedługo potem został zamordowany. W książce swej *Inconnu et les problèmes psychiques* C. Flammarion przytacza 76 snów wieszczych, z których dwa miała jego matka (s. 505). Większość nosi charakter zupełnej wiarygodności.

Najciekawszy jest wypadek p. Berarda, dawnego urzędnika i deputowanego (512). Zmuszony w ciągu podróży zanocować w lichej oberży pośród zalesionych gór, widział tam we śnie wszystkie szczegóły zbrodni spełnionej w trzy lata później w tym samym pokoju. Ofiarą tej zbrodni padł adwokat Wiktor Arnaud. Dzięki właśnie wspomnieniom tego snu p. Berard umożliwił odnalezienie morderców. Fakt ten przytacza również Gorou, naczelnik tajnej policji w swych pamiętnikach (II, s. 338.)

Można dodać jeszcze sen żony górnika, która widziała we śnie urywający się sznur od windy, którą spuszczałą się górniczy do szybów. Fakt ten sprawdzono nazajutrz i kilkunastu górników zawdzięczało mu życie (508).

Młoda panna z Nièvre ujrzała we śnie młodego człowieka, nieznanego jej wówczas, którego w następstwie poślubiła. Dzięki temu została panią Bedollière (509). Poza tym wiele osób widzi we śnie miasta, okolice, które rzeczywiście później zwiedzają (s. 505-547).

Henryk Horel, prof. muzyki w Strasburgu zobaczył pewnej nocy we śnie pięć trumien wyprowadzanych z jego domu. Wkrótce potem nastąpiło w tym mieszkaniu silne ulotnienie się gazu i pięć osób padło jego ofiarą (s. 416).

Do snów eterycznych zaliczyć można zjawiska ekstazy lub zachwyty. Jakkolwiek niektórzy uczeni, mało kompetentni w sprawie psychizmu, uważają ekstazę za stan chorobliwy, jest ona przecież jednym z najpiękniejszych przywilejów kochającej i wierzącej duszy, która w egzaltacji wiary zbiera całą energię, wyzwała się chwilowo z oków cielesnych i przetrzuca w regiony, gdzie piękno rozwija się w nieskończonych przejawach. Podczas ekstazy ciało jest znieczulone, dusza wyzwolona z więzienia, na jednym punkcie ześrodkowała całą potęgę życia, całą zdolność patrzenia. Nie należy już do tego świata. Uczestniczy w życiu niebiańskim. Szczęście ekstazyków, radość, jakiej doznają podziwiając wspaniałość zaświata, dają

nam w przybliżeniu pojęcie o uciechach, oczekujących nas w sferach duchowych, jeżeli ciężkie nasze pojęcia nie przeszkodzą nam zrozumieć je i przeczuć.

Okiem spirytysty



Kilka słów o możliwości poznania świata duchowego

Marcin Stachelski

*Ktoś, kto w nawiązaniu do spraw niedotyczących czystej matematyki
wypowiada słowo „niemożliwe”, jest nieostrożny*

François Arago

Potocznie uważa się, że obiekty, które postrzegamy, są najprawdziwszą rzeczywistością, trwałą, materialną i niezależną. Trudno wyobrazić sobie cokolwiek poza nimi. Wielu ludzi jest tak bardzo zanurzonych w świecie doznań zmysłowych, że nawet nie dopuszcza do siebie odmiennych możliwości. Nasze interakcje, wrażenia i spostrzeżenia konfrontujemy z doświadczeniami innych ludzi, których ogląd rzeczywistości jest bardzo podobny. Jest tak dlatego, że jesteśmy pod względem fizycznym bardzo zbliżeni, należymy do tego samego gatunku, a nasze władze zmysłowe są ewolucyjnie dostosowane do świata, w którym przyszło nam egzystować. Jeśli pozostali widzą tę kartkę, tę białą płaską powierzchnię rozciągniętą na moim biurku, to wiem, że ona jest właśnie taka, nie inna. Wiem, że leży tu naprawdę i jest rzeczywista. Jeśli w grupie ludzi jako jedyny dostrzegłbym przedmiot, który dla pozostałych byłby niewidoczny, miałbym słuszne wątpliwości, czy aby nie padłem ofiarą złudzenia albo halucynacji. Jest to realny problem także w komunikacji spirytystycznej, na przykład gdy badamy przypadki mediów widzących czy słyszających. Uważam, że spirytyści mogą uzyskać pewność poznania świata duchowego tylko wówczas, kiedy będą porównywać ze sobą otrzymywane przekazy i dążyć do obiektywizacji uzyskiwanych danych.

Jak można dotrzeć do zjawisk, które leżą poza rzeczami, jakie człowiek percypuje bądź poprzez zmysły, bądź za pomocą narzędzi czy aparatury, które stanowią ich przedłużenie? Spirytysta jest pewny, że istnieje świat duchowy, świat nieśmiertelnych, odcieleśnionych Duchów, które albo zakończyły swoje bytowanie w materii i oczekują na kolejne wcielenie, albo wcielać się już nie muszą i żyją pełni aktywności w pewnych tajemniczych, eterycznych, bliżej nieznanym nam przestrzeniach. Ale czym miałyby być taki świat duchowy? Zapewne czymś zupełnie innym niż to, co widzimy, słyszymy i z czym stykamy się tutaj.

Sądzę, że aby zrozumieć rzeczywistość duchową należy usunąć granice, które ludzki umysł stawia i poza które boi się wykroczyć. Zazwyczaj jest tak, że zaświaty przeciwstawiamy materii, budując silny dualizm. Moim zdaniem świat duchowy nie jest zupełnie odrębnym bytem. Widzę go raczej jako inną, bardziej subtelniejszą, głębszą warstwę rzeczywistości - tej samej, w której funkcjonujemy. Nie sądzę, aby rozdzielanie materii i ducha było słuszne, choć w wyjaśnianiu wielu spraw jest użyteczne. Już sam fakt stałych interakcji między zmarłymi, a żyjącymi, wskazuje, że te granice nie są tak trwałe, jakby się początkowo mogło wydawać. Potwierdza to komunikacja spirytystyczna. W końcu duchy przemawiają przez media posługując się ich narządami mowy; twierdzą, że stoją obok nas, a więc zajmują pewną ściśle określoną przestrzeń; że przyglądają się nam, a zatem posiadają zmysł wzroku. Słyszą, poruszają się, jednym słowem – porozumiewając się z nami, niemalże wkraczają w nasz twardy, zmysłowy świat. Kiedy zastanawiamy się jak to ogóle możliwe, musimy przyjąć, że istnieje jakiś czynnik spajający te dwie sfery, w których działamy.

Kiedy zmarli kontaktują się z żyjącymi, różne elementy łączą się w pewną całość. Różnorodność nie przeczy jedności. Raczej w jedności zawiera się różnorodność. Kiedy zastanawiam się nad tym przenikaniem się dwóch poziomów rzeczywistości, przychodzi mi na myśl pewna idea z przeszłości. Przed wiekami w ikonografii chrześcijańskiej często przedstawiano Boga jako Wielkiego Architekta Wszechświata, Boskiego Geometrę. Na jednej z miniatur, którymi ozdabiano karty średniowiecznych ksiąg widnieje Stwórca z cyrklem w ręku, zajęty dziełem stworzenia. Na ilustracji widać jak oddziela światło od ciemności, wody od nieba. Obrazek ten symbolizuje pozorny dualizm Boskiego dzieła stworzenia. Po-

myślmy na chwilę, że jeden koniec cyrkla tkwi w materii, a drugi w świecie ducha. W tym punkcie dualizm wydaje nam się najostrejszy, ale zauważmy, że dwa końce cyrkla łączą się w tym samym punkcie, w którym też się rozdzielają – zbiegają się w rękę Boga. Tu łączą się dwie – zdawałoby się – zupełnie odmienne drogi. Punkt ten zawiera w sobie nieogarnioną, boską jedność. To wprawdzie tylko prosty symbol, ale może nieco rozjaśnia to proste stwierdzenie, zgodnie z którym aby kontakt z du-



chami mógł mieć miejsce, potrzebne jest przyzwolenie Boga. Spirytysta wie, że spoiwem między duszą a ciałem jest ciało duchowe. Możemy więc przyjąć, że i w szerszym wymiarze zaświaty i materia łączą się i przenikają, składając się na całość Stworzenia.

Spirytyzm postuluje istnienie sfery leżącej poza granicami postrzegania zmysłowego, co zaciekle zwalczają sceptycy. Z tego samego powodu *a priori* negują objawienia religijne i prawdziwość doznań mistycznych, podważają eksperymenty, które dowodzą istnienia faktów postrzegania pozazmysłowego. Spirytyzm ukazuje nam, co prawda drogę poznania pośredniego, ale możliwego do weryfikacji poprzez porównywanie i analizę przekazów mediumicznych, że ta sfera jest w pełni rzeczywista i w pewnym stopniu możliwa do zrozumienia.

Zastanówmy się nad drogami, które prowadzą nas do widzenia i rozumienia świata. Trzeba przyznać, że są one bardzo ograniczone i nie pozwalają nam na ogarnięcie rzeczywistości w całej jej bogatej różno-

rodności. Jedną z najbardziej elementarnych struktur postrzegania jest trójwymiarowość. Trudno wyobrazić sobie bez tego nasze życie w świecie materialnym. W praktyce widzenie przedmiotów w trzech wymiarach polega na tym, że mózg interpretuje obraz powstający na siatkówce oka jako wrażenie przestrzenne, „obliczając” kąt pomiędzy liniami widzenia obu gałek ocznych. Bardziej skomplikowane są czynności mózgu w przypadku postrzegania kształtów. Jesteśmy w stanie rozpoznać przedmiot także wtedy, gdy ukazuje się on nam z różnych odległości, w zmieniającym się oświetleniu lub z innej perspektywy. Obraz na siatkówce jest wówczas za każdym razem inny, a mimo to postrzegamy go stale jako jeden i ten sam przedmiot. Postrzegamy trójwymiarową przestrzeń o trzech wzajemnie prostopadłych osiach. Osie te wyznaczają trzy wzajemnie prostopadłe płaszczyzny. Orientujemy się w przestrzeni za pomocą dwóch organów równowagi znajdujących się w uchu wewnętrznym. Każdy z tych organów składa się z trzech łukowatych kanalików wypełnionych ruchomą cieczą. Owe łukowate kanaliki przebiegają dokładnie w trzech wzajemnie prostopadłych płaszczyznach, a tym samym odzwierciedlają trzy płaszczyzny współrzędnych w trójwymiarowej przestrzeni euklidesowej. Spróbujmy przejść dalej i zapytajmy, czy przedmioty, które postrzegamy w ten sposób, są właśnie takie, jakie przedstawiają się naszym oczom i pozostałym zmysłom? A może istnieją pewne przestrzenie, których pojąć nie możemy, gdyż uniemożliwia to budowa naszego ciała? Może wielkość ludzkiego umysłu przejawia się właśnie w tym, że zdolny jest do łączenia zespołu różnych elementów: barw, dźwięków, rozciągłości przestrzennej itd., w pewne spójne „obiekty”. Człowiek nie tylko biernie przyjmuje doznania zmysłowe, ale tworzy z nich konstrukcje w umyśle. To prawda, że rozumie je jako identyczne z przedmiotami postrzeganymi, ale możliwe, że jest to obraz bardzo niekompletny i nie w pełni oddaje rzeczywistość. W tej sytuacji można choćby teoretycznie przyjąć istnienie miejsca, w którym funkcjonowałiby ludzie po śmierci, pozbawieni ograniczeń materii, a więc zdolni postrzegać i rozumieć o wiele więcej niż my. Andrzej Sarwa przedstawił taki oto interesujący koncept: „Najpierw piszemy na kartce papieru: 1cm i robimy kreskę długości jednego centymetra. Potem - 1cm^2 i rysujemy odpowiedni kwadrat. Następnie - 1cm^3 , czego obrazem jest figura trójwymiarowa, ale nie możemy jej nanieść na płaszczyźnie tylko

jako figurę trójwymiarową. Teraz piszemy: 1cm^4 . Jest to figura czterowymiarowa, której nie potrafimy narysować ani jej sobie wyobrazić, gdyż wraz tą formułą matematyczną opuszczamy nasz świat, w którym znamy takie wymiary, jak długość, szerokość i wysokość. Gdy będziemy próbowali ową czterowymiarową figurę jakoś przedstawić, powiedzie nam się tak samo jak w przypadku naniesienia figury trójwymiarowej na papier, który ma długość i szerokość, ale brak mu wysokości, a więc nie ma na nim miejsca na sześćcian. Teraz wyobraźmy sobie dwuwymiarowy świat, całkiem taki jak nasz, tylko uboższy o jeden wymiar, świat, w którym znana jest tylko długość i szerokość. Jest to świat płaski. Gdyby w takim świecie żyły istoty dwuwymiarowe, nie miałyby pojęcia o wysokości. Istoty te nie byłyby w stanie nas zauważyć, bo patrzylibyśmy na nie z góry. My natomiast moglibyśmy tych *płaskoludów* widzieć wszystkich naraz, na całej długości i szerokości. I coś jeszcze więcej: potrafilibyśmy widzieć ich całe wnętrze, ponieważ nic by ich od góry nie zasłaniało, byłiby *otwarci*. Gdybyśmy jakiś przedmiot z ich świata podnieśli nieco do góry, zniknąłby zaraz z ich pola widzenia. Gdyby naszą trójwymiarową figurę umieszczono w dwuwymiarowym świecie, poznano by ją tylko w zarysie jako twór dwuwymiarowy. Dla *płaskoludów* przybysz ze sfery trójwymiarowej byłby w ich pojęciu taki sam jak oni. Dla zobrazowania tego przedziurawmy ołówkiem kartkę papieru. *Płaskolud* na papierze zauważy tylko kółko, żadnych strzępów papieru wystających ponad płaszczyznę nie dostrzeże. Teraz wyobraźmy sobie, że my - ludzie w świecie trójwymiarowym - jesteśmy z istniejącego na zewnątrz czwartego wymiaru tak samo obserwowani, jak my obserwowaliśmy *płaskoludów*. Istoty *czterowymiarowe* mogłyby widzieć nas także z góry, byłibyśmy dla nich *otwarci*¹.

W naszej strukturze biologicznej może tkwić więcej ograniczeń, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Jak przedstawiałby się nam świat, gdybyśmy w drodze ewolucji zostali ukształtowani nieco inaczej? Pomyślmy o daltonizmie. Co prawda daltonistów jest niewielu w społeczeństwie, ale wyobraźmy sobie na chwilę, że to właśnie oni są w większości. Gdzie w takim przypadku podziałby się świat zielonych liści, lazurowych mórz, żółtych piasków pustynnych czy rozpromienio-

¹ Ignacy Matuszewski, *Czarnoksiężstwo i mediumizm. Studium historyczno-porównawcze*, Sandomierz 2010, s. 6.

nych czerwonością zachodów słońca? Wszystko utonęłoby w odcieniach szarości i ludzie nawet nie mogliby wyobrazić sobie kolorów, o których opowiadałaby im ta mała grupka osób postrzegających obiekty w wielu barwach. Może naśmiewaliby się z nich, tak jak dziś niektórzy śmieją się z osób sensorywnych, z mediów spirytystycznych - osób, które zdają się widzieć więcej niż pozostali. Pójdźmy jeszcze dalej. Gdyby wzrok nie był człowiekowi potrzebny do przetrwania, jeśli – niczym pewne gatunki zwierząt w głębinach morskich – byłibyśmy pozbawieni oczu, to czy wtedy zdołalibyśmy powiedzieć cokolwiek o gwiazdach, planetach, odległych galaktykach? Czy zresztą możliwe byłoby powstanie takich doniosłych dziedzin jak astronomia? Uczeni zapewne twierdziliby, że wszelkie rozważania na ten temat to zupełna metafizyka i obrazą dla nauki jest zajmowanie się podobnymi sprawami. Czy nie podobnie jest ze spirytyzmem? Człowiek, gdy tylko uświadamia sobie własne ograniczenia, przestaje już dogmatycznie orzekać o przyrodzie i jej prawach tak, jakby wiedział już wszystko. Przestaje autorytatywnie wypowiadać się o tym co możliwe, a co niemożliwe.

Z przekazów zebranych w dziełach spirytystycznych wynika, że Duchy, które opuściły ciała fizyczne postrzegają świat inaczej niż my. Inaczej pojmują upływ czasu. Po śmierci okazuje się, że ciało było tylko czymś w rodzaju zasłony, która ograniczała duszę. W *Księdze Duchów* znajduje się nawet stwierdzenie, że Duch może postrzegać rzeczywistość tak, jak my widzimy świat, którego nie zauważa niewidomy. Duchy wyższe mogą nawet oglądać Boga i rozumieć jego istotę. Nie potrzebują światła, by widzieć. Widzą samoistnie i nic nie jest przed nimi okryte ciemnością, chyba że miałyby to być dla nich kara. Duch przemieszcza się z szybkością myśli; widzi wszystko jednocześnie; jego myśl może promieniować i znajdować się jednocześnie w wielu różnych miejscach. Percepcja duchów zależy oczywiście od rozwoju i stopnia oczyszczenia. Im słabiej Duch jest oczyszczony, tym bardziej jego wzrok jest ograniczony; tylko Duchy wyższe są w stanie ogarnąć wszystko. Z lektury *Księgi Duchów* dowiadujemy się również, że wszystkie zmysły są atrybutami Ducha i stanowią część jego istoty; dopiero gdy przyobleka się on w fizyczną powłokę, zaczyna korzystać z organów materialnych; jednak w stanie wolnym zmysły te

znów są nieograniczone². Jest to niezwykle intrygujący obraz rzeczywistości duchowej, ale też bardzo niepełny. Przyznaje to sam Allan Kardec: „Wiemy, że w świecie Duchów występuje postrzeganie, doświadczenie, słyszenie, widzenie i że zdolności te są właściwe każdemu stworzeniu, a nie – jak jest to w przypadku ludzi – tylko niektórym jednostkom; lecz zapytajmy raz jeszcze: na jakich zasadach? Właśnie tego nie wiemy. Same Duchy nie mogą tu pomóc, bowiem nasz język nie jest w stanie wyrazić spraw, których nie ogarniamy – podobnie jak w języku ludzi prymitywnych nie ma wyrażen, by opisać naszą sztukę, naukę, czy teorie filozoficzne”³. W naszym języku nie jest więc możliwe oddanie całej istoty świata duchowego. Stwierdzenie to nie jest bynajmniej zręcznym wykrętem, który miałby ucinąć wszelkie rozważania na ten temat. Jest raczej wyrazem pokory człowieka wobec rzeczywistości, której nie zdoła do końca zrozumieć. Nie znaczy to wcale, że ma przestać próbować. Wprawdzie same Duchy stwierdziły, że „nauka została nam dana celem uzyskania postępu we wszystkich dziedzinach, lecz człowiek nie może przekroczyć granic wytyczonych przez Boga”, ale któż wie jak daleko mogą leżeć owe granice? Póki co stale poszerzamy nasze horyzonty, nasz umysł sięga coraz dalej i zgłębia niewyobrażalne dawniej zagadnienia. Spirytyzm pozwala rozszerzać poznanie jeszcze bardziej, ujawnia nam prawa naszej egzystencji materialnej i duchowej, i – być może – przyczyni się do tego, że w przyszłości poznamy odpowiedzi nawet na najtrudniejsze pytania.

² zob. A. Kardec, *Księga Duchów*, Katowice 2001, s. 187-190 i in.

³ ibidem, s. 190.



Szarlataneria za tysiąc złotych

Piotr Struczyk

„Weź udział w seansie spirytystycznym za 1000 zł” - szarlataneria w najgorszym wydaniu, ponieważ tylko osoby cierpiące po stracie bliskich są w stanie odpowiedzieć na taką ofertę, ale nie dajmy się zwariować.

Choć spór o istnienie duchów trwa od dawien dawna i wielu ludzi bardzo sceptycznie podchodzi do kwestii życia po śmierci, wiele rzeczy zmienia się w życiu człowieka w chwili, gdy nagle zostaje opuszczony przez najdroższe istoty, gdy żona traci męża, matka chowa dziecko lub bezpowrotnie opuszcza go rodzeństwo. Gdy przychodzi moment szukania pocieszenia w modlitwie, nierzadko wdowy i zdesperowane matki sięgają po metody bliższe rozumowi, gdyż chęć zrozumienia i zbadania przedmiotu podstawowymi zmysłami jest u człowieka bardzo silna.

W różnych gazetach ezoterycznych reklamuje się wiele wróżek i mediów zapewniających, że po uiszczeniu opłaty przez klienta będą w stanie zapewnić kontakt z duszą zmarłego i choć nie można całkowicie negować ich intencji i posiadanych zdolności mediumicznych, jest pewna granica, której nie powinni przekraczać.

Mimo iż powszechnie uważa się, że drogie produkty i usługi są wysokiej jakości, w przypadku spraw duchowych sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Aby nie szukać zbyt daleko, sięgnę po przykład największego autorytetu moralnego naszej kultury: Jezus nie pobierał opłat za leczenie i uwalnianie od demonów. Ojciec Pio czy Matka Teresa także nie kazały sobie płacić za udzieloną pomoc, choć w przypadku siostry z Kalkuty, przez wzgląd na materialną stronę działalności, zwrot chociażby ponoszonych kosztów byłby uzasadniony. Takich przykładów jest wiele.

gro.pl/seans-spirytystyczny-wywoływanie-duchów
☆ C Google

Kontakt

E-mail: [Wyślij wiadomość](#)

Telkom.: [REDACTED]

Gadu-Gadu: [REDACTED]

O sprzedającym

[Moje komentarze](#)

[Inne aukcje](#)

[Dodaj do ulubionych](#)

Konta bankowe

Numer: [REDACTED]

Bank: [REDACTED]

Regulamin

W cenie przesyłki zawarto koszt opakowania.

Podany koszt wysyłki dotyczy zakupu jednej sztuki.

W przypadku zakupu większej ilości prosimy zapoznać się z cennikiem dostaw.

Towarów nie wysyłamy zwykłymi listami.

Witam na naszej aukcji!

Przedmiotem aukcji jest

udział w

SEANSIE SPIRYTYSTYCZNYM
(zwanego potocznie wywoływaniem duchów)

1000,00 Zł

Cena 1000,00zł to koszt organizacji seansu spirytystycznego.
W seansie mogą uczestniczyć max. 2 zainteresowane osoby.
Cena ta nie zawiera kosztów dojazdu.

Na wszelkie pytania odpowiemy TYLKO telefonicznie.
Nie odbieramy telefonów z ukrytym numerem.
Nie odpowiadamy na SMS.
Rozmawiamy TYLKO z osobami co do których nie ma wątpliwości,
że są PEŁNOLETNIE.

**W PRZYPADKU TEJ AUKCJI PROSIMY NIE
ŻARTOWAĆ!!!**



Zdolność nawiązywania kontaktów z zaświatami - jak podaje literatura spirytystyczna (*Księga Mediów* Allana Kardeca) - jest zależna od predyspozycji fizycznych człowieka, lecz poziom moralny medium jest drugim kluczowym elementem, który sprawia, że komunikacja jest autentyczna. Takie same relacje panują w innych dziedzinach życia, zawsze szukamy autorytetu - tu autorytetem jest wysoki poziom moralności.

Największe [moralnie] media spirytystyczne nie pobierają opłat, ponieważ dla nich najpiękniejszą zapłatą jest już sama możliwość ulżenia komuś w cierpieniu. Wiarygodne medium nie reklamuje się i nie szuka zarobku na czyimś nieszczęściu, a podczas seansu nie próbuje oczarować klienta „tajemniczym” wystrojem, kadzidełkami i relaksacyjną muzyką. Prawdziwe medium całkowicie uzależnia powodzenie seansu od swojego stanu psychicznego i intencji interesanta, a nie od grubości jego portfela.



Ojcie nasz

Maria Florkowa

Modlitwa jest nieodzownym pokarmem duszy, jest siłą, która ją krzepi, jest jej ciepłem, jej pięknem, wołaniem ku Górze, gdzie już nie przenika żadna małość naszej ludzkiej natury i żadne zło naszej „doliny łez”. Niestety nie pojmujemy istoty modlitwy, jej czaru i wszechpotęgi. Nie rozumiejąc, nie pragniemy jej i w tym leży bezsila naszych skrzydeł, które uniosłyby nas ku górze, gdybyśmy pozwolili na ten wysoki lot ku Najwyższemu.

„Ojcie nasz, któryś jest w niebie”

„Ojcie”, a więc Ty, który nas ukochałeś najwyższą miłością i w zamian pragniesz tylko serc naszych. Który nie karzesz, a przebaczasz, nie odtrącasz, lecz ramionami wszechmiłości ogarniasz nie tylko glob ziemski, ale wszystkie światy i wszystkie kosmiczne wielkości. Ojcie, który swą radość widzisz nie w potępieniu i sile karzącej „ogni piekielnych”, ale w wywyższeniu i szczęściu syna ziemi, biednego wędrowca, zabłąkanego z własnej woli i winy na bezdroża materii i złudy życiowej.

„Któryś jest w niebie”

A więc daleko. Tam, gdzie już nie dobiega jęk ni skarga, gdzie łzy nasze lśnią może jako krople rosy, dodając uroku szarej ziemi? Nie, o nie Ojcie. Jesteś w nas, bo w nas, w głębi naszej duszy mieści się niebo szczęścia i świątynia Bożej obecności. Szukając Boga, pochylamy się nad naszą duszą w skupieniu, w miłości. Stańmy przez krótką chwilę, niech zamilkną troski i wołania ziemi, niech oddalą się szare cienie niechęci, żalu, buntu i złej woli. Pochylmy się nad wewnętrznym pięknem utajonego Ducha tak

kornie, jak pochylały się czasem nad cudem białego kwiatka lilii. Słuchajmy: na pewno dobiegnie nas rzewne, słodkie wołanie: „Jestem! – tu oto z tobą jestem, dziecko moje... Czuwam nad tobą z miłością, chciej mi zaufać!” Czyż trudno będzie nam wówczas odpowiedzieć: „Ojcze, jestem u kolan Twoich, zasil mnie swoją mocą?”

Modlitwa – to tęsknota za Pięknem i Dobrem w najdoskonalszej swej formie. Kiedy odrywamy oczy od ziemi i kierujemy miłujące spojrzenie na piękno wschodu, czy zachodu słońca, na błękit nieba lub niewysłowny czar gwiazdnej nocy; kiedy pochylały się z uśmiechem nad kołyską dziecka, lub szeptamy słowa ulgi zbolełemu sercu; kiedy cierpimy sami, prężąc swe ramiona w poczuciu siły i zwycięstwa nad swoimi słabościami – wtedy zmierzamy górną ścieżyną ku niebu. Nasz wysiłek duchowy jest najpiękniejszą, najpotężniejszą modlitwą, śpiewaną w milczeniu wraz z zastępami świetlistych Duchów, które schylając kornie swe czoło wołają:

„Święć się imię Twoje”

Uwielbiony bądź o Boże, Ojcze nasz! Istnieje przedziwna moc ze-
spalająca ludzi w jednym wspólnym wysiłku, w trudzie osiągnięcia Wy-
żyn Ducha. Ci, którzy są już „na drodze”, radośnie podają swe pomocne
dłonie zapóźnionym, ale chętnym wędrowcom. Serca ich biją wspólnym
rytmem, oczy – rozszerzone poznaniem Prawdy – dążą po jednej smu-
dze światła poprzez mroki życia ku centralnemu słońcu wszechmiło-
ści. Zgromadzeni w „Imię Jego” dają się unosić uczuciu wyzwalającego
szczęścia, nad którym nie ma już mocy żaden smutek ani zwątpienie.
Dusze ich rozszerzają się przeogromną tęsknotą, a serca stają się jed-
nym wielkim wołaniem:

„Przyjdź królestwo Twoje”

Czy wiemy, że wówczas serca nasze ślą do stóp Bożych najpiękniejszą,
najbardziej podniosłą modlitwę światów? Miłość jest potęgą potęg. Jest
mocą, która najprostszy kształt przekuwa w wizję piękna, najsłabsze ser-
ce zwycięsko umacnia do walki z mocami zła. Otwórzmy szeroko nasze
ramiona. Nie czynimy wyjątków. Niech przygarnie się do naszego serca
cała ziemia, wszystko, co tchnie zbiorowym czy indywidualnym życiem.
Starajmy się ukochać jak najwięcej. Stanie się wówczas cud: od płomienia

naszej miłości zalśni nasz kamień, jak precudna gwiazda, a cierpienie rozplamieni się stubarwną tęczą na niebie życia. Bo i czymże jest miłość? Modlitwą, która mówi: wszystko, co w sobie mam pięknego – oddaję Tobie, dla siebie zachowując małość, smutek, słabość... Ukryję je przed oczami Twymi, byś się nie smucił moją nędzą!

Ale oto nędzy już nie ma. Ukryte ziarna małe, smutne i słabe rozkwitły w ciszy naszego ducha w precudowne kwiaty Wielkości, Szczęścia i Mocy. Miłość odrodziła nas, miłość wydzwignęła na szczyty, skąd świat, życie i wszelkie jego miraże błękitnieją w mgle wyzwolenia. Otwieramy nasze serca szeroko – szeroko; pierś potężnieje chęcią samoofiary, święty ogień rozpala się glorią nad wzniesionymi w górę czołami, a z duszy biegnie najtkliwsza, najbardziej płomienna modlitwa oddania:

„Bądź wola Twoja”

Czyż potrafimy więcej jeszcze powiedzieć temu, którego kochamy? Czyż możemy głębiej wyrazić tę wielką tajemnicę miłości, aniżeli przez akt pokory i zatracenia się w Woli Umiłowanego? Cokolwiek ześlesz, przyjmuję chętnie. Przez uśmiech pogodnych ust i przez mgłę łez szarpanego cierpieniem serca – wielbimy Ciebie! W sławie i szczęściu, w poniżeniu i pogardzie, w niezrozumieniu nas, w odtrąceniu i samotności ducha i serca idziemy za światłem krzyża, który jest znakiem przymierza pomiędzy Tobą a nami. – „Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na Ziemi”.

Ojcze. Pozwól nam tylko prosić o jedno: niech w wędrówce życia nie ślepną nasze oczy na promienie Twej łaski. Daj nam świadomość naszych błędów, naszych zaniedbań dobrego i naszych przemilczeń wówczas, gdy winniśmy głośno wyznawać Ciebie. Daj nam zrozumienie naszej drogi życiowej, abyśmy z każdego cierpienia umieli czerpać mądrość doświadczenia, a z każdej radości splekli wiązanek kwiatów na chwałę Twoją. Niech nie mija ani jedna godzina, w której nie bylibyśmy złączeni z Tobą pogodnym uniesieniem serca. Nie potrzeba nam słów. Ten, który miłuje, czyta w duszach naszych. Pragniemy Dobra i Prawdy przez miłość ku Ojcu, a chęć nasza stanie się wołaniem szlachetnej modlitwy:

„Chleba naszego – daj nam dzisiaj!”

Analizując drogę ludzkiego życia i starając się zrozumieć tajemnicę duchowego doskonalenia się, niepodobna nie zatrzymać się dłużej i z wielką uwagą nad zagadnieniem: kim są dla nas nasi – tak zwani „nieprzyjaciele”? Ci, którzy ranią nas niechęcią, pogardą, dumą, lekceważeniem, którzy czynią nam źle, a życzą jeszcze gorzej?

Życie nie jest niczym innym, jak tylko szkołą ducha, charakteru i woli. Uczymy się od kolebki do grobu. Komu upływa życie na beztróskich błahostkach, na przyjemnościach i jedynym dążeniu, by z własnych ramion rzucić wszelki ciężar życia, chociażby kosztem drugich, którzy ten ciężar poniosą dalej, ten trwoni czas, dany mu do spełnienia wielkiego obowiązku wobec siebie: doskonalenia się. Przychodząc na świat, stajemy tym samym u stóp owej „Jakubowej drabiny”, która opiera się o ziemię, a sięga w niebo. Nie wolno nam stać w miejscu. Podążać trzeba naprzód, stale naprzód ku szczytom. I oto nasi „wrogowie” stają się dla nas nauczycielami i przewodnikami na tej trudnej drodze. Oni nas zmuszają do przezwyciężenia naszych słabostek, naszych niskich odruchów niechęci, pogardy, nienawiści; oni dają nam możliwość kształcenia w sobie tak wielkich cnót, jak odpłacanie dobrem za złe, przebaczenie, miłosierdzie, a nawet miłość dla tych, którzy nas spotwarzają. Czyż tych, którzy przyspieszają nasz wzrost wewnętrzny, możemy darzyć niechęcią?

Cierpienie – to walka wewnątrz nas, walka bardzo subtelna z wrogiem odwiecznych praw, któremu niebaczenie udzieliliśmy gościny w świątyni naszego Ducha. On to zмага się z naszym wyższym „ja”, buntuje się przeciw prawu, które podobało się nam złamać. Jeżeli cierpiąc zdobędziemy się na akt woli: „Dziej się wola Twoja, Panie!” – zdobywamy nowy szczebel na naszej symbolicznej drabinie. Równocześnie czujemy, że szpony bólu rozluźniły swój ucisk. Stało się to dlatego, że na wyżynie, na której stanęliśmy teraz, nasze cierpienie rzutuje się już w słabszej sile. Wychodzimy ponad mgły, otulające nas w nizinach, oddychamy szerzej, a światło prawdy staje się nam bliższe i bardziej zrozumiałe. Przyjmując cierpienie, stajemy się jego władcą, łagodzimy jego moc miazdzącą. W nasze silne dłonie ujmujemy ster zbłąkanej łodzi. Rozbicie przestaje nam grozić. A że żaden akt naszej woli nie ginie, przeto przyjmując ból i przebacząc tym, którzy

nas ranią, skreślamy tym samym nasze długi, zaciągnięte wobec wyższej Sprawiedliwości. Ten proces duchowy wyraża się słowami modlitwy:

„I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”

Życie jest nie tylko szkołą, ale i próbą naszej woli, naszego charakteru. Jesteśmy rycerzami spod sztandaru Chrystusa. Obowiązkiem rycerza jest stawać odważnie do walki z wrogiem. Odważnie nie znaczy jednak zuchwale. Bo jakkolwiek jesteśmy silni, niebezpieczeństwo może przenosić naszą możliwość zwycięstwa. I jeden jest wróg, którego moc przeraża, a umiejętność walki potrafi zmylić każdą czujność – to własne serce. Walcząc z nim, często „zwycięstwo” przyjmuje tylko złudę wygranej walki, podczas gdy w istocie jest klęską. Tu przede wszystkim musimy czujnie badać, czy wyzywając niebezpieczeństwo – nie składamy tym samym broni – gotowi potem zgodzić się na porażkę. Bo walcząc z samym sobą – nasze niższe „ja” odczuwa słodycz w klęsce, a gorycz i bunt w zwycięstwie. I tak trudno, o jakże trudno jest czasem powiedzieć sobie: nie podejmę tej walki... wycofam się zanim będzie za późno... Dlatego wołać powinniśmy do Ojca każdym uderzeniem serca:

„Strzeż nas od pokuszenia i zbaw od złego!”

Chcemy zrozumieć jedno: że modlitwa – to nie zbiór pięknie dobranych słów, to obcowanie z Bogiem i łączenie się ze wszystkim, co Boga przejawia: z Pięknem, Dobrem i Prawdą. Ilekroć czujemy w wewnętrznym porywie, że odbiegamy od szarżyzny życia i jego przyziemnej nędzy, a łączymy się w płomiennym uczuciu radości z jakąś podniosłą wszechobecnością – modlimy się! Modli się artysta, gdy w porywie natchnienia tworzy dzieło, modlitwą jest praca uczonego, gdy w zachwycie woła do własnej duszy: „Znalazłem!” – i modlitwą jest myśl, zamknięta w słowie: „przebaczam” lub „kocham”.

Na granicy, gdzie przygasa żar niskich żądz, a otwiera się królestwo Ducha, każdy czyn i każde uczucie jest już łączeniem się z Bogiem, jest – modlitwą...



Pieśni spirytystyczne

Spirytyści polscy, którzy przed II wojną światową prowadzili zorganizowaną działalność, poza aktywnością wydawniczą i publicystyczną starali się przede wszystkim żyć w zgodzie z nakazami Ewangelii, w duchu braterstwa i miłosierdzia. Częścią ich życia religijnego były piękne pieśni, przepełnione umiłowaniem i afirmacją Boga, świata i natury, dodające otuchy w chwilach trudu i niepokoju. Zbiór tych pieśni ukazał się w 1939 roku na krótko przed wybuchem wojny; poniżej prezentujemy wybrane utwory, które – mamy nadzieję - dodadzą jeszcze odrobinę do bogactwa duchowego naszych Czytelników.



Pieśń poranna

*Pierwszy poranku świeży wiew,
Przed słońca chwałą ginie cię,
Z serc nam weselny płynie śpiew,
Święcimy Tobie nowy dzień.*

*Witaj nam Panie, Światła Bóg —
W nas samych rozprósz złudy noc;
I w czystych sercach Twoich sług
Niech się przejawia Twoja moc.*

*Wędrując pośród ziemskich złud
Dążymy do wieczności bram,
Jedności życia znamy cud,
Służba radością będzie nam.*

*Chwalą Cię Boże twory Twe,
Chwali Cię Boże życia ruch,
Chwali Cię Boże serce me:
Pochwalon Ojciec, Syn i Duch.*

Do sfer ducha

*Z mroków głębokich — przez chmury i cienie
Wznosimy głos swój ku Wam — Jasne Duchy
Z rzewnym błaganiem o Górne natchnienie,
O Słońce w drodze na tej ziemi głuchej.*

*My, unękani pielgrzymi, błagamy
Waszej pomocy — o najczystsza Gamy!
Wy zstąpcie ku nam, Górnych Sfer Duchowie,*

*Wskrzeście nam w duszach myśl jasną, myśl Waszą,
Wskażcie Swą Wolę w każdym naszym słowie,
Wasze wskazania niech drogę nam kraszą,
Jak Słońce miliony przez Ducha wchłonięte:
O zstąpcie ku nam Duchy Dobre — Święte!*

*Jak ranne zorze wstają nad górami
I budzą w gniazdach uśpione ptaszęta:
Tak Wy nam Prawdę wjejdźcie nad mrokami,
Która, niech wiedzie nas — Jak Gwiazda Święta —*

*Bo Prawdę głosić idziemy przed światem,
Niosąc ją w sercu z czcią i majestatem!*

*Jak przez Prawieki Miłość Życie złoci
I świeci Duchom w mgławicach Prabytu:
Niech nas otoczy tęczą swej Dobroci,
Bo nam potrzeba Górnego jej Świtu —
Bo nam potrzeba w bojowaniu świętem
Słońca Miłości — u Ojca poczętej!*

*O przyjdź Miłości z Sfer Górnych w świat głuchy,
A serca nasze nie skalają Ciebie!
Wy nam ją dajcie Opiekuńcze Duchy —
Niech Miłość kwitnie na ziemi i w niebie —
My Was błagamy o pomoc w działaniach,
O wiarę wielką — o łaskę wytrwania!*

W. Breowicz

Dziękczynienie

*Chwała Wam, chwała — wieczne dziękczynienie
Za Waszą pieczę, pomoc i natchnienie —
Za łaskę zlaną w serc naszych przestworze;
Chwała Wam, Duchy promieniste — Boże!*

*Za wysłuchanie modlitwy pielgrzymiej
W potrzebie pracy na tej smutnej ziemi,
Za zbożne Myśli i jasne wskazanie
Wdzięczność serc naszych nigdy nie ustanie!*

*Chwałę dziękczynną, cześć i uwielbienie
Wznosimy w Sfery — ponad ziemskie cienie —
Niech brzmi w atomach Wszechświatów prawieczych
Za łaskę Duchów promiennych — słonecznych!*

*W drodze przez Wieki duch się nęka, trudzi
Dla dobra bliźnich ukochanych ludzi,
Bo zaciągnięte długi wobec braci
Przez Życ miliony musi duch nasz spłacić..!*

*A któż pomoże omotanym w sieci
Spełnić zadanie przeżytych stuleci,
Kiedy duch Karmą obarczony łąknie —
Jeśli pomocy Waszej mu zabraknie?*

*Lecz nam Wy Święte wyzwolone Duchy,
Rwać pomagacie karmiczne łańcuchy
I wolne skrzydła wznosicie w przestworze —
Chwała Wam za to, Duchy Dobre — Boże!*

W. Breowicz

Do Boga

*O Ty w przestrzeni granic niemający,
A w biegu wieków — początku ni końca,
W dziełach Twej woli wieczyście żyjący,
W Trójcy Jedyny, Źródło blasku słońca!*

*Moc niepojęta, rozmach i potęga
Z każdego rąk Twych wybija się dzieła!
Istoty rzeczy myśl ma nie dosięga,
A tylko sercem wielkość ich ujęta.*

*Źdźbła pyłków drobne, burze oceanów
Są Twego głosu potężnymi dźwięki!
Nad Jego treścią, duchem się zastanów
I wznies się sercem do kornej podzięk.*

*Wszystkie sprzeczności w Tobie się kojarzą,
Jesteś Jedynym ukojeniem świata!
O zlanu w Tobie wszystkie dusze marzą,
Przeszedłszy próby i doświadczeń lata.*

*Tyś miłowaniem wszechobejmującym,
Krynicą szczęścia nieśmiertelnego duszy,
Balsamem wszelkie rany jej gojącym,
Opoką, której nic w świecie nie wzruszy!*

*Maska materii ukrywa Twą istność!
Choć jesteś wszędzie i wszystko przenikasz,
Dla serca jednak Tyś jest Rzeczywistość
Jedyna w świecie, tak bliska, tak bliska!*

*Więc zachwyceni wznosimy Ci ołtarze
Wszędzie, jak umiem, jak pozwolą siły,
W podzięce serca znosimy Ci w darze,
Co jedne tylko tworzą dar Ci miły!*

T.B.

Na nową drogę

*Kto ziarno Dobra chce siać po tej ziemi,
Kto bratnie serca uszlachetniać pragnie —
Niech się otoczy skrzydły anielskimi
I własną duszę ku dobroci nagnie...*

*Kto chce utulić cierpiących dusz skargi;
By nowa życia rozwarła się księga,
By olbrzym wieków rzucił snów zatargi:
Niech wzwyż po zbawcze blaski jutrzni sięga...*

*Kto podłość rzucić chce gromem — co kruszą,
Świat w nieśmiertelne zdobić ideały —
Musi błękitów męską sięgać duszą,
Mieć serce czyste — jako wód kryształ...*

*Kto w nurtach życia pragnie czuć harmonię:
Niech wir żądz własnych zwycięsko okowa!
Nad rozhukane niech wznosi się tonie —
I iskrę ciszy w głębi duszy chowa!*

Przez wieki płynie miłość

*Przez wieki płynie miłość Twa,
Niewyczerpane łono mórz,
Przez wieki płynie i wciąż trwa,
Pali się ciągle w blaskach zórz.*

*Ustami głosimy imię Twe
I Twoją chwałę wielbi lud.
Twe Imię ponad światy wsze
Rozumie jeno serca cud.*

*Schodzisz, o Panie, w zwątpień noc
I z nami razem chylisz skroń*

*I krzepi słabość Twoja moc
I ból ulecza Twoja dłoń.*

*Nieszytym krajem Twoich szat
Zabliźniasz rany ludzkich mąk,
Zmieniasz cierpienie w piękna kwiat
Boskim dotknięciem Twoich rąk.*

*Modlitwa dzieci przed Twój tron,
Imię Twe szepcząc leci wzwyz.
I starzec wita życia zgon,
Gdy w Twoje imię bierze krzyż*

*A Świętych chwała głosi w krąg,
Że bój stoczyli w Imię Twe,
Że wzięli wieniec z Twoich rąk,
Żeś dał im, Panie, moce Swe.*

*Słońce radości, śpiewie cisz,
W Tobie jest życia wieczny ruch,
Modlitwę naszą Boże słysz:
Pochwalon Ojciec, Syn i Duch.*

Idę...

*Z chaosu Karmy i światów zamglonych,
Gdzie serca dręczy tylko ból i trwoga,
Z ciemnych bezdroży zawitych i stromych
Idę radosny, modląc się do Boga!*

*Nic mnie nie wstrzyma na drodze do celu
I nikt nie zmusi, bym się wyrzekł Boga.
Ja w braci gronie — a jest nas tu wielu —
Idę — pogodny — nie wiem, co to trwoga.*

*Przede mną droga jasna, promienista,
Lśni się miliardem molekuł świetlanych,
Które jaśnieją, gdy błysnie myśl czysta
O dobrym Ojcu i braciach kochanych.*

Wł. Brzechffa

Drzemią pola, gaje

*Drzemią pola, gaje — ptak śpi w cieniu drzew,
Dusza moja wstaje — Bogu nuci śpiew.*

*Jezu me kochanie — rozszerz skrzydła Swe
Przytul, ogrzej, Panie — zniwecz wszystko złe.*

*Ochroń mocny Boże — wszystkich bliskich mych,
Niech Ich nic nie trwoży, chroń od przygód złych.*

*Wszystkim daj na ziemi — święty pokój Twój
Z pokusami złymi — niech zwyciężą bój.*

B. Kotula

Wieczorna

*Gdy wieczorem gwiazdki płoną,
Na wysokim niebios tle,
Zda się, że aniołów grono
Duszę mą do nieba rwie.*

*Tęskne wtedy z serca płyną
Tęskne myśli w niebios tło.
Gdzie w Ojczyźnie bóle giną,
Łzy tęsknoty prędko schną.*

Koncentracja

*Niech Moce jasne ludzkość oświecą
I żar miłości w sercu nam niecą,
Niech duch pokoju zawsze i wszędzie
Skrzydlatym stróżem dusz naszych będzie.*

*I niechaj wszystkich, tych dobrej woli
W rodzinę jedną kiedyś zespoli,
Aby promienna tęsknot ich siła
Najwyższe Prawo - w życie wcieliła!*

Do anioła stróża

*O Ty mój Aniele złoty,
Z samego nieba przychodniu,*

*Bądź przewodnikiem sieroty,
Przez całe życie, dzień po dniu.*

*Prowadź mnie wszystkie dni moje,
I we śnie wśród nocy głuchej,
Odpędzaj złych myśli roje,
I one złowrogie duchy.*

Pieśń wieczorna

*Chwała Ci Panie nocnych cisz
Za wszechpotężną światła moc
Prośbę Ty moją, Panie, słysz,
Niech w Twojej pieczy spędzę noc.*

*Niech płynie pokój na Twój świat
I pośród ludzi miłość zbudź.
Jeśli zawinił bratu brat
Przed snem Ty pokój sercom wróć.*

*Niech jasnych myśli złoty rój
Osnuje przędzą moją skroń,
Niech w Tobie spocznę, Panie mój,
Od udręczonych snów mnie broń.*

*Chwalą Cię Boże twory Twe.
Chwali Cię Boże życia ruch,
Chwali Cię Boże serce me:
Pochwalon Ojciec, Syn i Duch.*



Historia jednej ważki

Walter Dudley Cavert

Na dnie starego grzęzawiska żyły sobie gąsienice, które nie mogły zrozumieć, dlaczego żadna z nich, kiedy wczołgała się już po łodydze kwiatu lilii aż na powierzchnię wody, nigdy już do nich nie wracała... Obiecały sobie, że gdy tylko któraś z nich zacznie swoją wspinaczkę, zejdzie na dół do koleżanek, aby opowiedzieć, co jej się przydarzyło. Wkrótce jedna z gąsienic poczuła nieodpartą chęć pójścia do góry, wspięła się i przycupnęła na liściu lilii, żeby odpocząć. Nagle dokonała się przemiana, dzięki której z gąsienicy wyrosła ważka z przepięknymi skrzydłami. Tak przeobrażona gąsienica usiłowała na próżno dotrzymać danego koleżankom słowa. Fruwając z jednego końca grzęzawiska na drugi widziała swoje przyjaciółki, które zostały na dnie. Wkrótce zrozumiała, że gdyby one ją zobaczyły, to i tak nie rozpoznałyby w tak olśniewającej kreacji dawnej gąsienicy. To, że nie możemy widzieć naszych bliskich i komunikować z nimi po przemianie, którą nazywamy śmiercią, nie jest dowodem na to, że przestali istnieć.

z francuskiego przetłumaczyła Elise



O kształceniu własnego charakteru

Julian Ochorowicz

Ze wszystkich przedmiotów, jakie w ostatnich czasach poruszano, najmniej uwagi zwracał na siebie ten, o którym mówić zamierzam.

Bardzo wielu myślicieli pracuje dziś nad rozwiązaniem zagadek wszechbytu; kwestie poglądu na świat i na życie absorbują umysły badaczy — a o moralnej, etycznej stronie człowieka, prawie zupełnie zapomniano. Może też i słusznie powiedział jeden z myślicieli, że jeśli nie brak naszym czasom wielkich talentów — to za to brak im charakterów. Gorączkowe życie postępu przejawiające się na wszelkich polach ludzkiej działalności, nadmierna praca, przy coraz to większym współzawodnictwie, bynajmniej nie sprzyja wewnętrznej pracy ducha nad samym sobą, nie daje nawet chwilki czasu do zastanawiania się nad własnym charakterem i kształcenia samego siebie; toteż skargi na brak charakterów powszechne, zwłaszcza we Francji [...]

Niepodobna mówić o *kształceniu charakteru*, nie porozumiawszy się poprzednio co do znaczenia, jakie wyrazowi *charakter* przypisujemy.

Wyraz ten nie jest dla nikogo niezrozumiałym, widocznie więc w chwili wypowiedzenia go, pewna liczba odpowiednich wyobrażeń, chociaż niejasno budzi się w umyśle słuchacza; potrzebujemy tylko uprzytomnić je w umyśle, rozjaśnić, rozebrać i odgraniczyć dokładnie od innych: tym sposobem zakreslimy stanowczo w myśli krąg faktów, które obejmujemy jednym pojęciem ogólnym, jedną nazwą *charakteru*.

Rozdzielmy sprawy naszej istoty na *fizyczne* i *duchowe* i rozważmy wpierw do jakiej z dwu tych kategorii zaliczyć mamy właściwości podciągane pod nazwę charakteru.

Jeśli mówimy o kimś, że ma szlachetny charakter, że ma stały charakter, że nie ma żadnego charakteru, to które wówczas z tych dwu rodzajów właściwości mamy na myśli? *Fizyczne* czy *duchowe*? Czy to, że ktoś ma rysy twarzy estetycznie piękne, skłoni nas do przyznania mu szlachetnego charakteru? Bynajmniej. Wiemy bowiem, że chociaż twarz jest pospolicie odbiciem duszy, niemniej jednak bardzo piękne rysy mogą należeć do osoby najbrzydszego charakteru. Wiadomo np. że sławna trucicielka de Brinvillier miała rysy klasycznie piękne.

Przypisując zatem komuś szlachetny charakter, nie mamy bynajmniej na myśli piękności jego rysów, lub stanu jego zdrowia; wszystko nam jedno, czy jest brzydki jak Sokrates, czy słaby jak Kant — dosyć nam wiedzieć, że ma duszę szlachetną; to nam wystarcza do powiedzenia, że Sokrates lub Kant byli wzorami charakterów.

Zatem sfera właściwości pod tę nazwę podciąganych, należy wyłącznie do *duchowych*, nie zaś *fizycznych*.

Ale musimy jeszcze bliżej oznaczyć zakres tych duchowych właściwości.

Czy mówiąc o kimś, że ma piękny charakter, mamy na myśli jego zdolności umysłowe, jego obszerną pamięć, jego zadziwiającą erudycję, jego krytyczny sąd o rzeczach i dziełach naukowych? Wcale nie; mówiąc o charakterze nie przesądzamy bynajmniej rozumowych zdolności — i na odwrót często nawet obdarzamy mianem wielkiego charakteru ludzi bez wyższych zdolności, ale którzy zacnością swoją, uczynnością, siłą woli, wytrwałością i poświęceniem na miano to zasługują. Odwrotnie znów musimy nazwać genialnym wielkiego Bacona, który pomimo wysokiej nauki, wysokich zdolności filozoficznych, literackich i dyplomatycznych, czynami swymi, życiem swoim, bynajmniej na miano uczciwego nawet człowieka nie zasłużył.

Pozostają zatem tylko dwie ostatnie kategorie *uczuć* i *woli*. Do której z nich zaliczyć charakter?

Czy można mieć szlachetny charakter nie mając szlachetnych uczuć? Zaiste *nie*; tu już świadomość każdego z nas mówi nam, że tych dwu rzeczy w żaden sposób rozdzielać nie można.

Nie ma szlachetnego charakteru bez szlachetnych uczuć. Ale nie dosyć na tym. Czy dalibyśmy imię wielkiego charakteru człowiekowi uczuciowemu, którego każda sprawa szlachetna dotyka i rozrzewnia, który nawet (przypuszczając że jest poetą), te swoje piękne uczucia, w piękniejszych jeszcze wierszach wypowiada — jeśli ten człowiek w życiu towarzyskim, rodzinnym, społecznym, w czynach swoich, pięknych tych uczuć albo wcale nie słucha (nie mając dość siły do wprowadzenia ich w życie), albo co gorsza jeszcze, rozrzewniając się gdy chodzi o rozrzewnienie — przestaje być czułym, gdy chodzi o czyny, o dotykalny dowód czułości. Zwalczenie pokus, wytrwanie w nędzy, stałość w przedsięwzięciach, energia w ich wykonaniu — to nie dla takich uczuciowych ustrojów zadanie. Zapewne, takiego człowieka nie nazwiemy wielkim charakterem. Dlaczego? Bo posiadając uczucia, nie posiada *woli*.

Weźmy tę samą rzecz z innej strony. Czy możemy sobie wyobrazić człowieka, którego czyny własnowolne, nie wywołane przypadkowym zbiegiem stosunków, są pełne prawości, szlachetności, a który by jednakże uczuć tych prawości i szlachetności nie posiadał? Nie — takiego człowieka nie widziano nigdy. Można wprawdzie postępować dobrze tylko dla interesu, dla zyskania popularności, dla wkręcenia się w czyjeś protekcje, a jednak nie być w gruncie rzeczy prawym — nie działać zgodnie z wewnętrznymi skrytymi uczuciami; ale kto niezależnie od tych wszystkich egoistycznych widoków korzyści postępuje szlachetnie, ten widocznie obok znacznej woli, żywi i znaczne uczucia. Bez uczuć bowiem nie ma woli. Tylko zaś łączność uczuć i woli w doskonałym sił rozwoju stanowi tę wyższą, moralną cechę człowieka, którą nazywamy *charakterem*.

Niesłusznie też niektórzy autorzy nazwę charakteru nadają wyłącznie właściwościom woli — wola jest tylko wyrazem charakteru, jest jego przejawem. Grunt zaś charakteru stanowią uczucia i na nich oparte skłonności, nałogi, przyzwyczajenia, popędy i namiętności. Wszystkie te współczynniki razem wzięte nadają całej umysłowości człowieka pewną barwę, pewien charakter, wyrażający się teoretycznie w *przekonaniach*, a praktycznie w *czynach*.

Na tym punkcie musimy się bliżej porozumieć. Wspomniałem, że nazwy charakteru nie odnosimy do zdolności rozumowych, lecz do *uczuć* i *woli*. Tak jest w samej rzeczy, ale nie należy zapominać, że dusza ludzka

nie da się pokrajać na grządki odgradzone i od siebie niezależne. Myśl, uczucie i wola przejawiają się w duszy ludzkiej bezustannie, działają łącznie i w najściślejszej zależności. Jakkolwiek więc krańcowo obojętne sprawy myśli np. rachunek matematyczny, wyróżniają się stanowczo od jej spraw uczuciowych, do których należą, np. popędy miłości, radości, współczucia, a te ostatnie znów wyróżniają się widocznie od właściwych działań woli, postanowień i czynów, to jednak ani wola, ani uczucie, ani myśl, nie mogą się przejawiać niezależnie jedno od drugich.

W tym to właśnie punkcie zetknięcia sfery myśli ze sferą uczuć i woli, pomieścić należy powszechnie znany fakt duchowy, wyrabiania się i ustalania *przekonań*. *Przekonaniem* nazywamy sąd rozumowy, oparty na wewnętrznym poczuciu. Mówimy tu o przekonaniach w ścisłym znaczeniu, a więc o przekonaniach moralnych. Mniemania czysto rozumowe, obojętne, nie wchodzi tu w rachubę. Zależą one od większej lub mniejszej bystrości umysłu i nie dotyczą moralnej strony czynów. Zmienność takich mniemań, nie tylko nie przynosi ujmy człowiekowi, ale owszem, może nieraz dowodzić umysłowej wyższości. Można np. będąc lekarzem, mniemać, że pewien dany środek jest zawsze skuteczny na pewną chorobę, a następnie przestać w niego wierzyć, przekonawszy się o względnej szkodliwości.

Inna rzecz, gdy chodzi o właściwe przekonania, o przekonania moralne.

Człowiek, który raz potępia rzeczy niegodne, drugi raz usprawiedliwia je, a nawet popiera; człowiek, który gotów służyć pod każdym sztandarem, byle mu dobrze zapłacono, przestaje zasługiwać na szacunek, przestaje być uważany za człowieka z charakterem. Nie chodzi tu już bowiem o kwestie czysto rozumowe, teoretyczne lecz o życie, o czyny. Ogół *wymaga* od ludzi naukowych, ażeby zmieniali swe mniemania w miarę postępu nauki, ale *potępia* zmianę zasad moralnych, zmianę przekonań etycznych i odstępców piętnuje mianem ludzi niezasługujących na wiarę, ludzi bez charakteru.

Na jakiej zasadzie ogół wyróżnia dwie te rzeczy? Odpowiedź jest łatwa. Podstawa, na której to czyni ma swe usprawiedliwienia naukowe, ma swe usprawiedliwienie psychologiczne. Mniemania teoretyczne należą do zakresu *myśli*, przekonania zaś życiowe, moralne, sięgają głębiej, rdzeniem ich są *uczucia*, forma rozumowa jest dla nich tylko szatą, można

nie umieć wypowiedzieć jasno na czym polega różnica złego od dobrego, i większość ludzi rzeczywiście nie zdaje sobie sprawy z teoretycznego pojmowania tej kwestii, ale pomimo to każdy człowiek najmniej wykształcony, byle tylko posiadał poczucie moralne, potrafi w danym wypadku ocenić co jest dobrym a co złym, jak należy, a jak nie należy postąpić.

Otóż w tym to właśnie głębszym uczuciowym gruncie przekonań moralnych, z jednej, a społecznym ich znaczeniu z drugiej strony, leży przyczyna, dla której ogół ludzi inaczej ocenia odstępstwo rozumowe od pewnej teorii, a inaczej odstępstwo moralne od pewnych zasad...

Streszczając to cośmy dotychczas powiedzieli, wypada, że nazwa charakteru moralnego odnosi się nie do fizycznych, lecz do duchowych własności organizmu, że spomiędzy tych ostatnich właściwą treść charakteru stanowią tylko przymioty uczuć i woli, nie zaś myśli, że wreszcie te ostatnie przy naturalnym i ścisłym związku wszystkich spraw ducha, odbijają *charakter* człowieka w formie rozumowej, teoretycznej, w formie *przekonań*. Zatem wiemy już jaki jest *zakres* właściwości podciąganych pod nazwę *charakteru*, możemy więc przystąpić do rozbioru podjętego zagadnienia o *kształceniu charakteru*.

Psychologowie i pedagodzy, którzy zagadnienie to poruszali, mówili zazwyczaj tylko o kształceniu charakteru dzieci i na tym poprzestawali. Nie sądzę jednak, ażeby tak czynić należało; co więcej, sądzę, że należy postępować wprost przeciwnie. Nie tylko *dzieci* kształcić możemy, możemy kształcić i *siebie samych*, a sprawa ta w dzisiejszym stanie pedagogiki bodaj czy nie ważniejsza.

Rok temu z tej samej katedry wypowiedziałem zdanie, które pozwolę sobie powtórzyć: „Reformę zacznijmy od siebie”. Ani pedagogiki pisane dla ojców, ani higieny dla matek, ani podręczniki dla nauczycieli, na nic się nie zdadzą, jeśli ten ojciec, ta matka, ten nauczyciel, sami od wieku młodzieńczego nie nauczyli się obserwować siebie, obserwować dzieci; — doświadczeniem własnym, zdobywać te prawidła i przepisy, które mają wprowadzić w wykonanie.

„Chcąc ulepszyć wychowanie potrzeba powiększyć liczbę prawdziwych ojców, prawdziwych matek, prawdziwych nauczycieli. Od nas więc, którzy nie jesteśmy jeszcze ani jednym ani drugim, należy zacząć reformę, ale zacząć od siebie”.

Kształcenie *własnego* charakteru jest tedy pierwszorzędną kwestią. Ale czy możemy kształcić własny charakter? Oto pytanie.

Historia ludzi genialnych daje nam liczne przykłady, dowodzące co może siła wytrwałej pracy, gdy jest skierowana ku kształceniu *umysłowych* władz. Wiemy, że większość ludzi wielkich zawdzięcza swe wyniesienie samouctwu i pomocy własnej. Czy jednak podobne środki dadzą się zastosować i do kształcenia siły moralnej? Odpowiadam stanowczo: *dadzą*.

Nie tylko wiedza jest potęgą, jest nią i *charakter*. Siła charakteru, podobnie jak geniusz, rozciąga wkoło siebie urok, któremu ludzkość hołdować musi. Zaufanie, jakie ogół żywi dla swych apostołów i kierowników, więcej na tej drugiej sile się opiera. Rozum zjednywa umysły, ale charakter zjednywa serca, a i to przecież coś znaczy. Jest więc dostateczna, praktyczna pobudka, dla której powinniśmy kształcić nasz charakter. Jeżeli bowiem kształcąc się na biegłych inżynierów, prawników, lekarzy, filologów, mamy nadzieję zyskać między ludźmi stanowisko i utrzymanie, to kształcąc się na ludzi prawych, wytrwałych, sumiennych, słownych i uczynnych, możemy znaleźć między ludźmi poważanie, cześć i na nich opartą pomoc moralną lub materialną. Co prawda, łatwiej wyżyć na świecie z talentem i bez charakteru, aniżeli z charakterem i bez talentu — no, ale przecież jesteśmy ludźmi i nie samym chlebem żyjemy — a cześć tym, co żyjąc duchem, żyli dla drugih.

Chcąc kształcić samego siebie, potrzeba przede wszystkim znać samego siebie. Ale jakim sposobem dojść do tej wiedzy?

Od wieków powtarzają ludzie zdanie, że najtrudniej jest poznać siebie. A przecież tak źle nie jest. Znajomość samego siebie nie jest bynajmniej trudniejsza do zdobycia aniżeli znajomość drugih. Mniemanie przeciwne powstało stąd, że w sądach i spostrzeżeniach nad innymi ludźmi, pomagają nam zawsze bardzo liczni znajomi i przyjaciele, podczas gdy nam samym w oczy nikt całego o nas mniemania nie wypowiada. Wiadomo bowiem, że tym właśnie sposobem najłatwiej sobie zrobić nieprzyjaciół. Ale trudności te dadzą się usunąć, trzeba tylko: po pierwsze otaczać się takimi ludźmi, którzy by bez złośliwości potrafili mówić nam w oczy prawdę; i po drugie, potrzeba samemu zdobyć się na tyle rozsądku, ażeby się o to nie obrażać, a nawet na tyle dobrze zrozumianego egoizmu, żeby

wdzięcznym być za to. Nie są to warunki łatwe, ale nie są też niemożliwe. Czyniąc im zadość, uczynimy tym samym wielki krok naprzód w sprawie poznania samego siebie.

Ale obok tej pomocy, jaką nam inni ludzie zapewnić mogą, ważniejsza jest własna. Trochę dobrej woli na początek, trochę przyzwyczajenia następne, a rzecz sama nie będzie tak trudna jak się wydaje.

Oto pomoc, jakiej każdemu psychologia, mająca w tej sprawie głos przeważający, udzielić może.

Chcąc poznać dokładnie własną naturę, uprzytomnijmy sobie sztuczny podział, o którym już wspomniałem. Podzielmy się na *ciało* i na *ducha*, rozbierzmy, o ile które z nich przeważa w naszych zajęciach codziennych, o ile przeważało dawniej i o ile przewaga taka wpływa na całe nasze postępowanie. To nam da tło ogólne, na którym zapiszemy dalsze spostrzeżenia. Następnie weźmy pod uwagę dział *ducha*, podzielmy go znów sztucznie na trzy części: na sprawy myśli, uczucia oraz woli i rozbierzmy każdy z nich szczegółowo.

Zastanówmy się nad siłą i zakresem naszych zdolności umysłowych, przypomnijmy sobie, które z nich były już wypróbowane i z jakim skutkiem, o ile przeważa w umysłowości naszej pamięć, wyobraźnia lub rozważa i o ile przewaga ta wpływała na postępowanie nasze i sposób zajęcia.

Dalej przejdźmy do działu uczuć. Tu trudności wzrastają. Trzeba analizować w chwilach spokoju, w chwilach rozważa wolnej od bieżących silniejszych podrażnień. Weźmy pod rękę pierwszy lepszy podział uczuć (dajmy na to Gratioleta, Combe'a, Baina lub choćby Teofrasta) i zastanawiajmy się nad każdym z nich oddzielnie. Przypomnijmy sobie, jakie wrażenia najsilniej na nas oddziaływały, zanotujmy wypadki śmierci drogie osób, zawody własne i dalsze obok najmilszych wspomnień wesela i zwycięstw życiowych. Rozważmy, które z uczuć najczęściej przejawiało się w naszym życiu, miłość czy przyjaźń, nienawiść czy dobroduszość, pogarda czy litość, uwielbienie czy wstręt, duma czy wstyd, pokora czy gniew, współczucie czy zawiść, nadzieja czy apatia? Porównujmy się przy każdej sposobności z ludźmi, których znamy, rozbierajmy uwagi obcych, wrażenie, jakie na nich i na nas te same fakty sprawiały — a niezawodnie prędzej czy później cała uczuciowa charakterystyczna strona naszej istoty,

z bezwiednej stanie się samowiedną, poznamy nasze uczucia, ich różnorodność i siłę.

Potem przejdźmy do zakresu *woli*. Tu badanie jest nieco łatwiejsze. Wola bowiem zostawia po sobie dotykalne ślady w czynach. Zbadanie uczuć dostarczy nam już wybornej podstawy do zbadania woli. Poznamy łatwo, jaki jest ogólny charakter naszej działalności, powolny czy gorączkowy, rozważny czy entuzjastyczny, wytrwały czy zmienny, poważny czy lekki, bierny, odruchowy, czy też czynny, oryginalny, dziwaczny. Po tym ogólnym przeglądzie przystąpmy do szczegółowego rozbioru popędów, skłonności, namiętności, postanowień i czynów. Wykryjmy dążność, która nad innymi przeważała, czy to będzie chęć wyniesienia się, zaszczytów czy też bogactwa, kokieterii, oryginalności lub rozkoszy, spokoju lub podróży, cichego uznania lub głośnej reklamy, dobrych obiadów lub wieczornych marzeń. Przypomnijmy sobie o ile silna okazała się nasza odwaga w chwilach pewnego niebezpieczeństwa, o ile zaś i przed jaką przeszkodą cofaliśmy się w życiu, rozbierzmy dokładnie tak zwane sprawy honorowe, jakich nam wspomnienia nasze dostarczą po upływie pewnej liczby lat, będziemy mogli wyrzec o nich słowo bezstronnego sądu. A zawsze i w każdej z tych spraw starajmy się dowiedzieć, o ile postępowanie nasze zgadzało się z tym, cośmy w słowach wypowiadać zwykli i o ile te słowa zgadzały się z tym, co dziś o tej sprawie myślimy.

Tego rodzaju przegląd da nam podstawę działania. Lecz ażeby ją zdobyć, potrzeba jednego warunku, którego może żaden z nas nie wypełnia, potrzeba badaniu samego siebie poświęcać w dzień na tyle przynajmniej czasu, ile go poświęcamy na nudy. Koniec dnia powinien być chwilą obrachunku. Powinniśmy wówczas uprzytomnić sobie cały proces dziennych zajęć, uczuć i myśli od chwili przebudzenia; powinniśmy przypomnieć sobie rozmowy, ich treść i ostateczny rezultat, rozważyć, o ile każde odezwanie się nasze było słuszne, o ile zaś nierozsądne, pospieszne lub też zanadto stanowcze — i do wniosków jakież takiego rozbioru wynikną, stosować plan jutrzejszych czynności i rozrywek. Postępowanie takie przedstawia niesłychaną doniosłość. Po pierwsze, kształci pamięć i przytomność umysłu; po drugie, daje nam poznać samych siebie; po trzecie, pozwala nam doskonalić się tak szybko pod względem moralnym, jak powtarzanie lekcji pozwala uczniowi kształcić się pod względem nauko-

wym. Przypuszczając bowiem, że codziennie tylko jedną drobną usterkę spostrzeżemy, czy to w sposobie mówienia o innych, czy w sposobie wnioskowania o tym lub owym przedmiocie, czy wreszcie w sposobie obejścia się z ludźmi — i usterkę tę na drugi dzień przy podobnej okoliczności sprostujemy, to już tym sposobem niesłuchanie szybko dojść możemy do wydoskonalenia własnych przekonań i czynów, pozostawiając coraz to szerszy tłum drobnych błędów poza sobą.

To, co mówię w tej chwili, stosuje się tylko do drobnych błędów i to do takich, które w bardzo krótkim czasie po ich spełnieniu mocą zwyczajnej rozwagi ocenić możemy. Mówię tu o tych drobnych wadach, które bez ćwiczenia nawet spostrzec można i bez wysilenia usunąć. Ktoś np. przypomina sobie, że będąc w dobrym humorze i żartując ze wszystkiego, odezwał się lekceważąco o osobie, którą szanuje, a którą takie powiedzenie mogło dotknąć, przypomniawszy to sobie, uczuwa żal i postanawia być na drugi raz ostrożniejszy. Działa w tym względzie tak jak dziecko, które ożywione zabawą, włożyło palec w ogień i sparzyło się. Doświadczenie daje nam naukę, ale trzeba umieć z niej korzystać, chcąc korzystać, trzeba uważać, obserwować i to, co się zauważy, pamiętać. Nigdy w tym razie na własną pamięć liczyć nie należy, zwłaszcza gdy się jest zajęтым stałą i długotrwałą pracą, która całkiem myśli nasze absorbuje. Niezbędnym warunkiem, bez którego poznanie własnej natury a tym samym i kształcenie własnego charakteru nie da się osiągnąć, jest spisywanie codziennych wrażeń, z całą swobodą i naturalną otwartością. Taki dziennik czy pamiętnik, będzie dla każdego bez wyjątku nie tylko bardzo miłym wspomnieniem tak zwanych lepszych czasów, ale jeszcze, co nas tu wyłącznie obchodzi, drogocenną kopalnią najszacowniejszych wskazówek moralnych. Zwłaszcza wiek młodzieńczy tak bogaty w nowe wrażenia i uczucia, a przy tym swobodniejszy od późniejszych lat pracy, winien przede wszystkim nie zaniedbywać tej potężnej dźwigni moralnej. Dotychczas zwyczaj pisania pamiętników, takich o jakich zaraz bliżej pomówimy, nie istnieje prawie. Pensjonarki spisują swe młodzieńcze wrażenia, ale spisują je wyłącznie ze względu na dzieje serca, przekładając karty pamiętnika listkami suchej róży lub niezapominajki i dołączając obfitą ilość przepisanych wierszy, w których zwykle więcej wykrzykników i kropek niż treści i sensu. Młodzież gimnazjalna jeszcze mniej myśli o pisaniu



Julian Ochorowicz
Foto Arch.

pamiętników, przepędzając chwile wolne raczej na grze w piłkę lub na ślizgawce. Z osób starszych, tylko mniej szczęśliwe jednostki z bardziej uczuciowym nastrojem ulegają tej potrzebie zwierzenia się kartom martwego papieru w braku czulszego spowiednika. Najczęściej tego rodzaju notatki znaleźć można u młodych kobiet, które pod wpływem okoliczności życia zmuszone były przyjąć na siebie obowiązki nauczycielki w jakiejś odludnej okolicy, gdzie świat, jak to zwykle na wstępie pamiętnika zaznaczają — „deskami zabity”.

Nie powiem, żeby były niepożyteczne tego rodzaju notatki, dorywczo bez żadnego planu i celu spisywane. Owszem, odczytane w lat parę, gdy umysł wzmocniony doświadczeniem, lepiej i trzeźwiej przeszłe chwile ocenić potrafi, mogą się stać źródłem niejednej doniosłej nauki praktycznej, niejednego udoskonalenia tej lub owej strony naszego charakteru, ale

nie ulega wątpliwości, że wartość ta stałaby się stokroć większa, gdyby pisaniu pamiętnika przewodniczyła myśl wyższa, myśl własnego uszlachetnienia i plan rozważnie pomyślany.

Przedstawię szanownym słuchaczom kilka własnych myśli w tym przedmiocie, są one również zdobyte doświadczeniem, mogą więc być pożyteczne.

Przed wszystkim pisaniu tego rodzaju notatek powinna towarzyszyć wszelka możliwa swoboda, nieskrępowanie się niczym, nawet własną skromnością, a tym mniej obawą, ażeby ktokolwiek kartek tych nie odczytał. W tym względzie można się zabezpieczyć używając sobie tylko znajomych znaków lub skrótów.

Uwagi i spostrzeżenia powinny być pisane na gorąco, pod wpływem świeżej myśli, gdyż w ten tylko sposób przechowane mogą na przyszłość dostarczyć wiarogodnego materiału do studiów.

Co zaś do treści notatek, to powinny one obejmować to wszystko, co z bliska naszej własnej istoty dotyczy. Dla ułatwienia, podobnie jak przy wstępnym badaniu własnego charakteru możemy użyć sztucznego podziału, o którym wspomniałem. I tak, obok spraw dotyczących naszej duchowej strony należy zapisywać uwagi nad fizycznym stanem organizmu. W ten sposób wkrótce odkryjemy siłę ciągłego oddziaływania pomiędzy ciałem i duchem, dowiemy się, które z objawów umysłowych po prostu z fizycznego nastroju naszego ciała wynikają i będziemy się starali unikać wszystkich tych wpływów, które na sprowadzenie owego stanu krwi czy też nerwów składały się.

Dalej możemy rozdzielić dział spostrzeżeń duchowych na sprawy *myśli, uczucia i woli* i każde nowe spostrzeżenie pod właściwą rubrykę podciągać. W pierwszej z nich zapisujemy nasze postępy w nabywaniu wiedzy: tym bowiem sposobem po pewnym czasie będziemy mogli ocenić, o ile stan naszych wiadomości wpływał na postępowanie nasze; dalej uwagi nad tym, co wpływa na rozbudzenie czynności naszego umysłu, a co ją przytępia i osłabia. Tu również zapisujemy wrażenia z odczytanych książek, z postępowania innych ludzi itp. Urządzajmy sobie zadania, mające na celu przekonanie się, jak dalece trwała jest pamięć lub jak zapatrywać się będziemy na ten sam przedmiot po upływie oznaczonego czasu. Tego rodzaju próby wykształcą naszą przytomność umysłu i trzeźwość sądu.

Przed wszystkim zaś niech zajmie uwagę naszą kwestia *przekonań*.

Większość ludzi zmienia przekonania, nie wiedząc o tym. Jest to dół niewyrobienia owej samodzielnej i samowiednej przytomności umysłu, która tym tylko sposobem, przez notowanie spostrzeżeń i robienie doświadczeń może być osiągnięta. Przeglądając dawniejsze notatki, ciągle przypominać sobie będziemy dawne zdania i sądy, unikając przez to owej mimowolnej sprzeczności z samym sobą, świadczącej zawsze o słabej sile duchowej. Nie idzie jednak zatem, ażebyśmy mieli starać się o wierne trwanie w dawnych zdaniach i sądach. Bynajmniej. Przekonawszy się o zmienności najtrwalszych na pozór przekonań, nauczymy się doskonalic je, zmieniać, a nawet cofać, jeśli tego gruntowna rozważa wymagać będzie, ale wszystko to nie będzie już w nas dziełem mimowolnego zbiegu wpływów, lecz *świadomej, samodzielnej krytyki*. W ten sposób panując ciągle nad otoczeniem, panując nad samym sobą, wyrobimy w sobie nie tylko trzeźwość sądu, ale co ważniejsza jeszcze ustalimy siłę duchową, dając jej ster i świadomość celów.

Jeszcze ważniejszymi będą nasze notatki z zakresu uczuć.

Tu każde chwilowe wrażenie, każdy odgłos miłości, gniewu, nadziei, zazdrości, upojenia lub rezygnacji, będzie dla nas drogocenną wskazówką pedagogiczną. Nie należy tylko ostudzać chwilowej pobudki, przeciwnie, należy zapisywać każdy szczegół na gorąco. Oddajmy pióro w ręce naszych uczuć, strzegąc tylko przesady, takiej, która zaraz w danej chwili przesadą się nam wyda. Nie przepuścimy żadnemu *przykremu* wrażeniu, bo one to właśnie dają nam siłę. Gdybyśmy nie doznawali przykrości, doskonalenie się naszego charakteru byłoby niemożliwe. Tylko przez szereg prób, zawodów i rozczarowań, mniej lub więcej widocznych, prowadzi droga do zwycięstw. Chodzi więc tylko o to, ażeby zawód nie przynębiał, lecz uczył, ożywiał, do nowej szczęśliwszej walki zachęcał.

Uczucia przykre zanotowane w naszym pamiętniku, będą lepszą nauką niż tysiące morałów. Kto chce znaleźć naukę „życiową” niech jej najpierw w samym sobie poszuka, a na pewno się nie zawiedzie. Nic tak nie kształci jak rozważanie własnego życia, trzeba tylko nauczyć się rozważać, nauczyć się uczyć samego siebie, pilnować samego siebie, strofować i poprawiać samego siebie.

Jeżeli pamiętanie nabytych wiadomości z dziedziny tej lub owej nauki jest podstawą naszej umiejętności w ogóle, to *pamiętanie własnych uczuć*, jest wyłączną podstawą umiejętności życia. Dziecko, które się raz sparzyło, młoda dziewczyna, która się raz zawiodła na czyjejś dobrej wierze; wierzyciel, którego oszukano; wojownik, który bitwę przegrał; student, który nie zdał egzaminu; autor, którego na wstępie skrytykowano; kochanek, który szukając żony znalazł lalkę; kochanka, która szukając męża, znalazła niedołęgę — wszyscy ci ludzie, jeśli chcą cokolwiek z doświadczenia skorzystać, muszą dobrze *pamiętać* doznane wrażenia i uczucia.

Pamięć uczuć, oparta na notowaniu doznanych wrażeń, da nam materiał, który po upływie pewnego czasu przejrzany i porównany, doprowadzi nas do wniosków praktycznych mogących się zmienić w postanowienia lub przestrogi. Równie pożytecznym w tym względzie materiałem będą notatki odnoszące się do wrażeń i uczuć *przyjemnych*, a mianowicie do tak zwanych *upodobań*. Upodobania najlepiej charakteryzują człowieka. Toteż zapisując, jakiego rodzaju rozrywkom czy zajęciom hołdowaliśmy w różnych chwilach życia, możemy następnie z tych postrzeżeń niemalą wyciągnąć naukę, trzeba tylko, jak to już wspomniałem, być względem samego siebie szczerym i nie krępować się żadną obawą.

Człowiek, który w ten sposób studiował swoje uczucia, z pewnością nie da się tak łatwo uwieść pierwszej lepszej uczuciowej pobudce i nauczy się postępowanie drugich względem niego w sposób właściwy oceniać.

Trzecia sfera naszej umysłowości — sfera *woli*, będzie dla celów naszych jeszcze ważniejsza od uczuciowej. Tu zapisywać będziemy własne czyny i uwagi nad nimi. Uwagi te przede wszystkim dotyczyć powinny *wpływów*, jakie na spełnienie tych czynów oddziaływały. Tu znajdą miejsce ślady naszych dziecinnych wspomnień i nałogów, spostrzeżenia nad towarzystwem, które nas w różnych czasach otaczało, wreszcie rozbiór powstałych pod wpływem obu tych przyczyn — dawnej i bieżącej, popędów, skłonności, namietności i postanowień.

W życiu ludzi czynnych zwykle jedna tylko przeważa namietność czy skłonność. Najpospolitszą z nich jest chęć wygodnego życia i dobrego stołu, u innych przeważają skłonności zmysłowe innej natury lub idealne, marzenia sławy, wiedzy, zaszczytów, władzy, wreszcie ideałów artystycznych i moralnych. Są ludzie, u których dwie, trzy, cztery, a nawet według

spostrzeżeń Fouriera, pięć różnych skłonności działa niemal współcześnie, biorąc górę na przemian.

Wszystkie te tajemnice naszej istoty odsłoni nam nasz pamiętnik, rozważnie po pewnym czasie odczytany. Nauczmy się z niego, które z tych skłonności i w jaki sposób możemy spożytkować i wyzyskać, a które przeciwnie osłabiać nam wypadnie, chroniąc się od wpływów, jakie za świadectwem pamiętnika najpospoliciej sprowadzały ich przebudzanie się wprost i przewagę nad innymi.

Ale w tym celu potrzeba koniecznie, ażeby notatki nasze były bardzo dokładne. Łatwo się bowiem przekonać, że niezapisanie kilku drobnych faktów, może uczynić rzecz całkiem niejasną. Tak np. trafia się często, że przyczyną kłótni z pewną osobą, a następnie i przykrzejszych jej następstw, było po prostu nagromadzenie się owych właśnie drobnych uprzednich wpływów, jak: niewyspanie się, ból głowy, list z przykrą wiadomością, niechętnie spojrzenie kogoś spotkanego na ulicy, obojętne słowo ukochanej osoby, idiotyzm służącego, niedosmażone kotlety, ciasne buty, splamione rękawiczki, deszcz, który spadł nie w porę, lub wreszcie zawód spodziewanego gościa. W życiu wszystko dziwnie się plącze i miesza, rzeczy drobne wywołują wielkie, a za odosobnionym na pozór zdarzeniem znaleźć można tysiące ukrytych warunków, które złożyły się na wywołanie zdarzenia. W ten sposób zapoznamy się z całą dziedziną naszej duchowej natury, poznamy nasze wady i ułomności, a wiadomo, że nieraz znajomość choroby wystarczy, ażeby wskazać przeciw niej lekarstwo.

Zastanówmy się teraz, w jaki mianowicie sposób udoskonalać możemy zasadnicze elementy naszego charakteru. Postawmy sobie ideał i do niego stosujmy działania.

Właściwą treść charakteru stanowią *uczucia* i *wola*. Jakie więc powinny być przymioty uczuć i przymioty woli, ażeby mogły złożyć doskonały charakter?

Zasadniczymi uczuciami wchodzącymi w skład charakteru moralnego są:

Poczucie estetyczne;

Poczucie własnej godności;

Poczucie moralne.

Pierwsze daje nam poznać podniosłe strony w otoczeniu, drugie przenosi je w nas samych, trzecie pozwala piękno własne przelać w drugich.

Bez poczucia estetycznego nie byłoby dla nas piękna w otoczeniu, bez poczucia własnej godności nie byłoby go w nas samych, ale bez poczucia moralnego nie byłoby tego piękna w nas — dla drugich.

Zjednoczenie tych trzech zasadniczych uczuć daje podstawę naszemu moralnemu charakterowi.

Widząc, które z nich słabiej jest w nas rozwinięte, winniśmy je wzmacniać tak, ażeby jedno równoważyło drugie, jedno podpierało drugie.

Ażeby wykształcić w sobie poczucie *estetyczne*, szukajmy wzorów, którym ludzkość hołduje, szukajmy ich w historii, w życiorysach, w dramatach, w poematach, obrazach i poddawajmy się ich wpływowi. Samo obcowanie z ideałami zostawia w nas część ideału.

Niepodobna nie ulec potędze uroku, czytając historię bohaterskiej Grecji, życiorys Sokratesa lub Waszyngtona, dramat Szekspira lub Słowackiego, poemat Mickiewicza lub powieść Wiktora Hugo. Niemniej jednak szukajmy tych wzorów i bliżej, unikając towarzystwa ludzi pospolitych i niskiego charakteru.

Poczucie estetyczne jest dla wyrobienia się innych składników pięknego charakteru niesłychanie ważną podstawą. Gdyby młodzież nasza staranniej pod tym względem była kształcona, nie mielibyśmy tylu przykładów rozpusty w najszybszej formie. Czyż bowiem mógłby młodzieniec z uszlachetnionym smakiem estetycznym, tracić czas na hulanki w najmniej dobranym towarzystwie, w gronie ordynarnych kobiet lub ograniczonych szlifibruków? Bez wątpienia namiętność wiele może, ale naprzeciw namiętności niskich należy postawić szlachetne — innej drogi nie ma: albo walka, albo ustępstwo. W naszym realistycznym wieku zanadto zapominają o tej niezbitej prawdzie, gdy chodzi o kształcenie estetyczne, choć pamiętają o niej bardzo dobrze w każdym innym razie. A przecież wielką krzywdę ponosi młodzież w tym, że tak mało dbać zwykliśmy o wykształcenie estetycznego smaku. Pracę w tym względzie ograniczamy zazwyczaj do troskliwego starania się o dobre ułożenie i do gry na fortepianie. Sądzymy, że tym sposobem dokonywamy wykształcenia estetycznego. Wielka omyłka. Dobre ułożenie nie jest jeszcze charakterem, a gra na fortepianie nie jest jeszcze dowodem wyższego smaku.

Poczucie estetyczne powinno sięgać głębiej, powinno wskazywać nam najpiękniejsze strony faktów z dziedziny przyrody, historii i sztuki. Powinniśmy się starać o dobre ułożenie, nie dlatego żeby się wydać lepszymi, lecz ażeby ułożenie to dopełniało wewnętrznej estetycznej strony charakteru. Przede wszystkim zaś tę właśnie *wewnętrzną* stronę kształcić należy. Powinniśmy używać gry fortepianowej nie za cel, lecz za środek. Muzyka bez wątpienia bardzo wpływa na uszlachetnienie estetycznego smaku, ale mija się zupełnie z celem, jeśli staje się po prostu mechanizmem, na wyrobienie którego zmarnowano wiele najpiękniejszych lat życia. To co mówię nie stosuje się oczywiście do artystów, lecz do ogółu ludzi, dla pierwszych bowiem sztuka musi być nie tylko środkiem, lecz i celem.

Najodpowiedniejszym środkiem, najpewniej kształcącym smak estetyczny są wyborowe powieści, dramaty i poezje.

W tym miejscu muszę zrobić małą uwagę.

Od dawna już autorzy życiorysów znakomitych pisarzy zauważyli dziwną dysharmonię, jaka bardzo często zachodzi pomiędzy ich pismami a życiem. Ludzie wyrażający najszczytniejsze o pięknie pojęcia, brali żony najpospolitszego umysłu a nawet w ogóle w całym życiu spisywali się bardzo nieestetycznie. Zdawałoby się, że fakt podobny świadczy przeciwko wpływowi pocucia estetycznego na charakter. Tymczasem tak nie jest. Świadczy on tylko przeciwko jednostronnemu kształceniu pocucia piękna. Człowiek bowiem, który przez wiele lat doszedł do wyrobienia w sobie tak delikatnego smaku w rzeczach sztuki, że oburza się na każdą dysharmonię kolorów w jakimś portrecie lub krajobrazie, że odsądza od czci i wiary każdego muzyka, który inaczej pojmuje Chopina aniżeli on sam, każdego poeetę, który zmienia w strofkach średniówkę lub tłumaczy Heinego zamiast Musseta; człowiek taki mówię, może pomimo to wszystko pozostać najzupełniej tępym na życiowe objawy piękna w charakterze kobiety lub rodzaju rozrywek.

Tej to właśnie jednostronności w kształceniu pocucia estetycznego unikać należy, jeżeli ma ono uzupełniać charakter moralny.

Odosobnienie od ludzi dla pracy nad sztuką jest wprawdzie lepsze aniżeli życie w złym towarzystwie, ale nic nie zdoła zastąpić korzyści, jakie z pożycia w dobrym towarzystwie wynikają. Otaczając się ludźmi, dla których subtelne różnice piękna nie istnieją, mimowolnie sami zatracamy

własne poczucie i przywykamy do różnych nieestetycznych wybryków, które nas zrazu tak bardzo raziły.

Bardzo też pożyteczne w tym względzie jest czytanie satyrycznych komedii z odpowiednią chęcią własnego kształcenia. Patrząc na scenę lub czytając książkę, przywykliśmy upatrywać podobieństwo przedstawianych typów do znanych nam osób; ale jakże rzadko samych siebie znaleźć w nich umiemy! A jednak chcąc kształcić samego siebie, o to właśnie starać się powinniśmy, ażebyśmy najdrobniejsze ślady ośmieszanych typów w sobie samych poznali. Będzie to wielkim ułatwieniem przy badaniu samego siebie, a tym samym i w pracy nad charakterem.

Przejdźmy teraz do drugiego uczuciowego składnika charakteru.

Chcąc wykształcić poczucie własnej godności, czuwajmy pilnie nad tym, ażeby wspomnienie poznanych ideałów niezbyt odbiegało od własnego naszego życia, ażeby w najdrobniejszym zakresie naszej działalności, pojęcie szlachetnego wzoru znalazło swój odblask i zastosowanie.

Godność własna najpewniej wyrobi się tam, gdzie wykształcone już poczucie estetyczne czuwa nad postępowaniem. Człowiek, który czuje szacunek dla piękna, nie pójdzie do budy jarmarcznej przedrzeźniać miny błazna cyrkowego i brać się za boki, gdy jeden drugiego bić będzie po twarzy, ani też nie pójdzie do szynku dla zrobienia burdy z dorożkarzem, ale samo poczucie estetyczne nie wystarcza jeszcze tam, gdzie wystąpić musi, a raczej powinno, poczucie *własnej godności*. Najzdolniejszy artysta, najidealniejszy poeta, nie uważa sobie za ubliżenie spać jak Bella i przespać pod stołem, byle nie w szynku i nie na gołej podłodze. Wprawdzie różnica polega tu tylko na rodzaju napitku i towarzystwie, które zamiast łachmanów ma świeże fraki i rękawiczki, ale niemniej nie jeden nie widzi w tym nic złego i nie sądzi, ażeby kto miał prawo odmówić mu poczucia własnej godności na tej zasadzie, że się z kimś pobił po pijanemu albo wdał w romans z kucharką. Pojęcia takie mają do pewnego stopnia punkt oparcia w opinii publicznej, ale opinia publiczna nie jest w tych razach ostatnią instancją. Owszem, poczucie własnej godności powinno domagać się uszlachetnienia pojęć powszechnych, powinno szukać swego kryterium jedynie w poczuciu estetycznym i trzeźwej krytyce rozumu. Jak tam tak i tu główną pomocą w kształceniu będzie dobranie odpowiedniego towarzystwa, ludzi mających szacunek i sza-

nujących własną godność. Kto choćby tylko powziął chęć wzmocnienia w sobie poczucia godności, ten już jest na dobrej drodze, ten już będzie zwracał uwagę na postępowanie obcych i na postępowanie własne i nie-trudno mu będzie spostrzec własne usterki przeciw godności. Dobrze też zrobi, jeśli nie zaniedba obserwowania ludzi, o których opinia głosi, że się odznaczają godnością lub że jej wcale nie mają. Uważając na takich ludzi w położeniu podobnym, w jakim się sam znajdował, potrafi zestawić postępowanie własne z ich postępowaniem i znaleźć w tym porównaniu praktyczne wskazówki dla siebie. Gdybyśmy więcej zwracali uwagę na postępowanie ludzi, którzy nie mając poczucia godności, płaszcą się przed innymi, kłaniają się i poniżają innych wobec tych, od których zawisło ich wyniesienie, posada, wzmianka pochwalna lub coś podobnego, pewnie byśmy zbrzydzili sobie tego rodzaju postępowanie i pilnie się strzegli, ażeby ktokolwiek w nas podobnego poniżenia nie spostrzegł. Nie mówię tu o tych, którzy o godność moralną całkiem nie dbają, ci bowiem starać się o nią nie będą, lecz o tych, którzy chcą tylko wzmocnić w sobie to poczucie, wyrobić je, wypróbować i przygotować tak, ażeby w każdym położeniu życia przewodniczyć im mogło. Ci potrafią wykształcić w sobie tę siłę charakteru, jeśli tylko myśl o potrzebie tego kształcenia, o potrzebie takiego czuwania i krytykowania samego siebie rozbudzi się w nich do tego stopnia, ażeby zawsze o niej pamiętać mogli.

Należy zacząć od najprostszych czynów i w najskromniejszym zakresie. Należy strzec poczucia godności w obejściu ze służącymi, z rzemieślnikami, których wielu paniczów tak lekkomyślnie traktuje, zapominając, że tym sposobem sami sobie najwięcej ubliżają. W każdym wreszcie stosunku z ludźmi na wyższym lub niższym szczeblu społecznym położonymi, można zawsze i wszędzie wprawiać się i wzmacniać poczucie własnej godności. Najtrudniej jednak zachować ją w postępowaniu z wyższymi od siebie osobami i dlatego też na to szczególną zwrócić należy uwagę. Wzorów nam nie brak; oto jeden pomiędzy wielu:

W czasie wojen Bolesława Krzywoustego z Niemcami, gdy Henryk, cesarz niemiecki, wkroczył z wojskami do Polski, Bolesław wyprowadził do niego posłów żądając ustąpienia z kraju. Henryk chcąc dowieść swojej potęgi i przewagi wskazał na skrzynię napełnioną złotem i rzekł: „Widzicie, jest czym pobić waszego pana”. Wtedy poseł Skarbek zdjął z palca

kosztowny pierścień i rzucając go w skrzynię odpowiedział: „Idź złoto do złota — dla nas więcej ma wagi ostre żelazo niż złoto”. To się nazywa dać dowód pocucia własnej godności.

Jedną z form pocucia godności jest pocucie prawdy, od którego zależy prawdomówność, słowność i otwartość. Brak lub słabe rozwinięcie tego pocucia należy do wad najpospolitszych.

Właściwie mówiąc nie ma człowieka, który by żył samą prawdą, a jednak jest to jedna z najważniejszych stron charakteru. Nic łatwiejszego jak przywyknąć do mówienia co innego w oczy, a co innego za oczy, do dawania obietnic i zapominania o nich bardzo prędko. Ale nierównie trudniej wyleczyć się z tej wady. Z tym wszystkim dla chcącego nie ma nic trudnego. Cały sekret w tym, ażeby zacząć od rzeczy najprostszych i najłatwiejszych, ale czuwać nad nimi z pedantyczną starannością. Trzeba postanowić sobie, ażeby przez dzień bieżący nie powiedzieć nic takiego, czego byśmy zawsze i wszędzie, rozumie się w odpowiednim towarzystwie powtórzyć nie mogli. Nie będzie w tym nic trudnego. A jeden taki dzień zanotowany w pamiętniku da nam już ochotę do dalszego wytrwania w poprawie. Podobnie będzie w kwestii obietnic. Ile razy w ciągu dnia będziemy mieli zamiar obiecywać komuś coś takiego, czego stanowczo obiecywać nie powinniśmy, tyle razy, jak to mówią, ugryźmy się w język. To zaś, co przyrzekniemy od siebie, zapiszmy w dzienniczku i naznaczmy sobie z góry karę za niewypełnienie zobowiązania, karę polegającą na pozbawieniu się pewnych przyjemności. Możemy nawet dla nabrania dobrego nałogu umyślnie robić takie przyrzeczenia, które na pewno spełnić będziemy mogli. Tym sposobem rozwinię się w nas przyzwyczajenie, będące jedyną, trwałą podstawą charakteru. A wszystko to notujemy w dzienniku dla nabrania otuchy do dalszej pracy.

Trzecim zasadniczym uczuciem wchodzącym w skład charakteru jest pocucie moralne; polega ono na rozróżnianiu czynów dobrych od złych i na przekładaniu pierwszych nad drugie. „Człowiek obdarzony pocuciem moralnym, usłyszawszy o jakimś złym czynie, w jednej chwili oceni go wrażeniem, jakie na nim sprawi ta wiadomość, nazwie go złym, zanim by to zdołał wyrozumować”. „Jest to wprawdzie rodzaj rozumowania, ale niewyrażonego słowami i odbywającego się bezwiednie i machinalnie. Rozum sam nie może oceniać moralności jako takiej, to przechodzi sferę

jego działania. On może tylko wykazać prawdziwość lub nieprawdziwość, praktyczność lub niepraktyczność, rozagę lub nierozagę w danym czy-
nie; i dlatego też poczucie moralne częstokroć uwielbia czyn, który rozum zwie po prostu niepraktycznym, niewyrachowanym, bezrozumnym”. „Człowiek najmniej oświecony, ale posiadający poczucie moralne, będzie czuł winę własną, daleko silniej, aniżeli złoczyńca inteligentny, ale upo-
śledzony moralnie”.

Otóż takie to poczucie moralne powinniśmy w sobie rozwijać. A roz-
wijać je możemy podobnie jak dwa poprzednie: notując spostrzeżenia nad samym sobą i tymi, którzy nas otaczają, szukając wzorów podnio-
stych w książkach, a więcej jeszcze między ludźmi żywymi, w których
poczucie to znajdziemy silniej rozwinięte. Przykład jest potężnym dzia-
łaczem i trzeba być bardzo zepsutym, ażeby mając obok siebie człowieka,
który dla dobra ogólnego poświęca własne dobro, nie ulec sile naśladow-
nictwa i samemu nie wzmocnić w sobie własnego poczucia obowiązku.
To zaś poczucie obowiązku jest tylko jedną z form poczucia moralnego
i tak samo pod wpływem dobrych wzorów, jeśli ich tylko szukać zechce-
my, wykształcić się może.

Poczucie moralne nazywamy pospolicie sumieniem. Jest ono najistot-
niejszym elementem pięknego charakteru. Ono to bowiem jest owym
aniołem stróżem, który nas ostrzega przed niebezpieczeństwem moral-
nym i wskazuje szlachetną drogę czynu. Nie należy tylko mniemać, że
taki anioł stróż każdemu z góry jest dany. Na ziemi nic darmo los nam
nie daje i słusznie. Wincenty Pol powiedział, że „od chleba aż do nieba,
wszystko, wszystko zdobyć trzeba”. I ów anioł stróż bez naszej pracy nie
zejdzie z nieba. Kształcenie sumienia jest rzeczą równie niezbędną jak
kształcenie pamięci. Kształcić zaś sumienie, to znaczy wyrabiać w sobie
szlachetny sąd o rzeczach i wzmacniać popęd do czynów dobrych. Rzecz
to mniej trudna, aniżeli się zdaje na pozór; pożycie bowiem z ludźmi,
smutne przejścia życiowe, doświadczenie niedoli i niewoli, samo przez
się wyradza w nas współczucie dla innych, którzy podobne koleje prze-
chodzili, trzeba tylko nie tamować pierwszych popędów serca i pamiętać
zawsze, że jeśli chcemy dawać dowody współczucia, to dawajmy je zaraz,
nie odkładając na potem, bo popęd poczucia moralnego tak dobrze jak
każdy inny słabnie, stłumiony przebudzeniem się innych.

Ale są też ludzie, u których poczucie moralne zanadto jest drażliwe. Ci ludzie, pod wpływem chwilowej pobudki oddaliby wszystko, co mają, bez rozważań, bez pamięci o sobie. Jeśli nam nasz pamiętnik pokaże, że się do tego rodzaju ludzi zaliczamy, to musimy się z tej wrażliwości wyleczyć. Przypuśćmy np., że któraś z młodych słuchaczek ma tak dobre serce, że nie może przejść obok żebraka, ażeby mu kilku groszy nie wsunąć. Wie, że bardzo często zamiast nędzarza wesprze nędznika, że niejednen z nich udając chorobę lub niemoc, zbiera grosze na pijatykę i hulanki, a pomimo to nie może nie ulec chwilowemu współczuciu i własny, może nawet bardzo szczupły dochód na jałmużny rozrzuca.

W jakim sposobie wyleczyć się z tej niezwyklej czułości, którą pewnie nieraz niegodnie wyzyskano? Sposób bardzo prosty. Pierwszego dnia wychodząc na ulicę, nie brać wcale pieniędzy, drugiego tylko tyle, ile potrzeba na wydatki; w ten sposób mimowolnie oswoi się z faktem niedawania każdemu żebrakowi i po pewnym czasie nabędzie dość zimnej krwi, ażeby wpięrować zanim da jałmużnę, rozważyć, czy robi dobrze lub źle.

Najważniejszą formą poczucia moralnego jest poczucie obowiązku. Społeczna jego doniosłość dostatecznie przemawia za potrzebą kształcenia go. W tym celu również należy wyrobić w sobie przyzwyczajenie. Ktoś np. zobowiązał się do wykonywania codziennie wieczorem pewnej pracy i ma szczerą intencję wytrwania w postanowieniu, ale trafia się pewnego razu niespodziana przeszkoda, dla której raz opuszcza zajęcie. Już przez to samo przerywa się ogniwo nawyku. Za kilka dni nierównie słabsza przyczyna wystarczy do oderwania go od pracy, a wybiwszy się raz z porządku, może coraz bardziej lekceważyć obowiązki spóźniając się lub nie przychodząc wcale. Wiedząc o tym, wiedząc, że taka jest natura ludzka, powinniśmy nigdy nie dopuszczać owego pierwszego, a przynajmniej drugiego zaniedbania. Nie robi nam to wielkiej trudności, a wiele większych strat moralnych oszczędzić może. A jeżeli już i ta granica przekroczona, to nie ma innej rady, trzeba na nowo pomyśleć o wytworzeniu w sobie nawyku, spóźniając się coraz mniej i coraz rzadziej, a zawsze stopniowo, bo inaczej nie wytrwamy.

Przechodzimy do drugiej grupy składników charakteru, do grupy woli. Podział to sztuczny tylko, już bowiem i te uczucia, o których mówiliśmy jak: poczucie estetyczne, poczucie własnej godności i poczucie

moralne, z natury rzeczy łączą się z odpowiednimi popędami, ale podział ten ułatwia nam rozbiór, możemy go więc zachować.

Choroby woli należą do najpospolitszych, przymioty — do najrzadszych. Łatwiej znaleźć człowieka z silnym umysłem, z głębokim uczuciem aniżeli z silną wolą... A jednak rodzaj woli najwybitniej przejawia charakter i dlatego jej też najwięcej starań poświęcić należy. Zasadniczymi przymiotami woli, od której podniosłość charakteru zawisła, są: siła odporna, siła czynna i połączenie obu, stanowiące tak zwaną wytrwałość. Siła odporna polega na przewadze duszy nad otoczeniem; brak jej wyradza przewagę otoczenia i uległość pierwszym lepszym wrażeniom.

Siła odporna na poczuciu obowiązku oparta, może pokonać najstraszniejszy ból fizyczny i nie ugiąć się wobec żadnej siły. Historia nie jest pozbawiona takich przykładów. Kiedy August II na mocy Traktatu Karłowickiego odbierał Kamieniec Podolski z rąk Turków miał miejsce fakt przypominający czyn Mucyjusza Scevoli. Przy oddaniu twierdzy, pasza turecki oprowadzał generała Kątskiego, którego król przysłał do przejścia fortecy; gdy zeszli razem do piwnic, gdzie były złożone prochy i kule, Turek rzucił knot siarkowany na beczkę prochu, chcąc całe miasto z ludźmi w powietrze wysadzić, samego siebie nawet poświęcając. Wtedy Kątski porwał knot i dał mu się na dłoni wypalić do końca, ocalając tym sposobem miasto i zawstydzając mściwego Turka. Czy taka odporna siła woli nie jest dowodem wielkiego charakteru?

Wyrobienie jej jest przecież możliwe. Wymaga tylko ciągłego panowania nad sobą, w rzeczach drobnych, stopniowego przyuczania się do znoszenia niewygód, hartowania się przy każdej sposobności i przy pomocy ćwiczeń cielesnych, jakimi są gimnastyka, szermierstwo, pływanie itp., których nigdy dla prac umysłowych całkiem zaniedbywać nie należy.

Wyrabianiu *odpornej siły woli* winna jednak towarzyszyć myśl wewnętrznej równowagi władz duchowych. Zarówno bowiem jak jednostronne rozwinięcie najszlachetniejszych uczuć, jakimi są: poczucie estetyczne, poczucie godności i poczucie moralne, doprowadza zawsze do wytworzenia dysharmonii w charakterze, tak i tu w sferze woli, ten sam wadliwy ustrój charakteru musi powstać, jeśli siła odporna lub siła czynna, zbyt jednostronnie się rozwinię.

Jednostronne, zbyt wygórowane rozwinięcie *poczucia estetycznego*, wyradza pedantyczną drobiazgowość; zbyt słabe — brak smaku i obojętność na wszystko, co piękne.

Jednostronne, zbyt wygórowane rozwinięcie *poczucia własnej godności*, sprowadza dumę i zarozumiałość; zbyt słabe — brak ambicji i zaufania we własne siły.

Jednostronne, zbyt wygórowane rozwinięcie *poczucia moralnego*, sprowadza nadmierną wrażliwość i czułośćkowość; zbyt słabe — nieludzkość i sobkostwo.

Podobnie rzecz się ma i z przymiotami woli.

Odporna siła woli, jeśli panuje nad innymi, wyradza *upór*. Człowiek uparty sądzi, że działa zawsze samodzielnie, choć w gruncie rzeczy jest tak dobrze niewolnikiem własnych przywidzeń, jak człowiek słabej siły odpornej — niewolnikiem obcych wpływów. Upór jest wcieleniem negacji w sferę naszej umysłowości. Szkaradna wada charakteru czyniąca pożyte z ludźmi nieznośnym, przyprawiającą nas o liczne błędy i tamująca rozwój jasnych, bezstronnych poglądów, tak jak i rozwojowej naturalnej sympatii, łączącej ludzi serdecznym węzłem zgody.

Powszechnie mniemanie głosi, że na upór nie ma lekarstwa. Byłoby to bardzo smutne spostrzeżenie, gdyby było rzeczywiście ostatecznym wyrazem psychologicznej obserwacji.

Ale tak nie jest. *Można się wyleczyć z uporu* — ale pod jednym warunkiem, który, jak już wspomniałem, musi służyć za wstęp w pracy nad własnym charakterem i bez którego praca ta w ogóle byłaby niemożliwa. Mówię tu o nawiązaniu do obserwowania samego siebie, do notowania spostrzeżeń i zastanawiania się nad nimi w pewnych odstępach czasu, przy rozbudzonej chęci doskonalenia się. Gdy ten warunek jest dany, wyleczenie się z uporu przestaje być niemożliwe. Przypuśćmy, że ktoś będący na tej drodze rozwoju, w notatkach swoich znalazł fakt własnego uporu, który następnie w skutkach okazał się bardzo przykry dla niego. Choćby pierwotnie fakt uporu, jako taki, uszedł jego uwagi — niepodobna przypuścić, ażeby i dziś pozostał niespostrzeżony, gdy notatki w mimowolnym zestawieniu, wykazały przykre jego następstwa. Człowiek, który w ogóle przywykł do obserwowania samego siebie, musi ten błąd spostrzec, uznać go za błąd, za wadę własnego charakteru, a tym samym

powziąć myśl pozbycia się jej. Jeśli więc wkrótce po zrobieniu tego spostrzeżenia, mimowolnie znów objawi swój upór, dajmy na to w rozmowie z przyjacielem, to oczywiście owa pobudka pedagogiczna wzmocni się i może go nawet skłonić do ustrzeżenia się od uporów w następnej rozmowie z przyjacielem. Gdy dojdzie do tego, gdy świadomość wady jako wady uprzytomni się w jego umyśle, gdy ta jej obecność przy zdarzonej sposobności uchroni go od podobnego faktu uporów i w następstwach okaże się dobroczynna, to niewątpliwie człowiek taki, jeśli tylko (powtarzam zawsze) chęć własnego kształcenia rozbudziła się w nim dostatecznie — wyleczyć się potrafi.

Inna rzecz, gdy chodzi o usunięcie przeciwnej wady: *zbyt słabej siły odpornej*. Tu już pomoc własna nie wystarcza. Jeżeli bowiem człowiek uparty, poznawszy swą wadę, sam przez się mógł, że tak powiem, stać się uparty w chęci pozbycia się uporów, i jeśli w tym razie wpływ *obcych* rozbudzając dawny nałóg, mógł tylko sparaliżować własne pedagogiczne jego postanowienia — to w tym drugim razie, przy zbyt słabej sile odpornej, sama pomoc własna nie może nam wystarczyć. Jak mógł człowiek słaby, sam przez się pozbyć się słabości, jeśli w każdym pedagogicznym jego usiłowaniu ta właśnie wada słabości przejawiać się będzie? Ale i tu nie należy rozpaczać. Człowiek o słabej odpornej sile woli, *będzie zawsze ulegał obcym wpływom*, będzie się im wiernie poddawał — to prawda; lecz jeśli te wpływy będą właśnie tego rodzaju, że mogą w nim *wzmocnić* ową słabą odporność woli? Ha, w takim razie udoskonalenie się jest możliwe. Czegóż w tym celu potrzeba? Oto zasadnicze warunki samowychowania: 1) znajomość własnej natury, która przy pomocy pamiętnika wyrodzi w nas świadomość własnej słabości, jako wady; i 2) rozbudzona w następstwie (pod wpływem wiedzy o przykrych jej skutkach) *chęć* pozbycia się jej. Gdy te dwa warunki są dane, potrzeba wypełnić trzeci, jaki nam wskazuje empiryczna psychologia: *potrzeba postarać się o stałe towarzystwo takich ludzi, w których tą odporną siłą woli, tą duchową samodzielność znamy, a może i podziwialiśmy nieraz*. Wpływ takiego towarzystwa wiele może, gdy się połączy z wewnętrznym dążeniem słabej jednostki do wzmocnienia własnego charakteru, do nadania mu cechy stanowczości. Kto może, ten niech się nie waha użyć tego środka w całej jego rozciągłości, niech się poddaje wpływom silnych wzorów, niech

wreszcie szuka wzmocnienia w narażeniu się na różne koleje losu, niech podróżuje o własnych siłach, niech się stara w najdrobniejszych przedmiotach wyrabiać własne zdanie, bronić go i obstawać przy nim, zawsze widząc w tym środku, w tym uporze, w tym usiłowaniu, cel pomyślny, cel podniesienia własnej siły i wzmocnienia własnej indywidualności.

Tym sposobem *siła odporna* nie przechodząc w *upór* lub *bezcharakterność*, zapewnia nam szacowne przymioty woli, *stanowczość*, *odwagę* i *stałość*.

Zastanówmy się teraz nad drugim przymiotem woli, nad jej *siłą czynną*.

Siła czynna przejawia się w *energii* działania. Obdarzony nią człowiek postępuje śmiało naprzód pośród przeciwności, działa szybko, stanowczo, nie zważając na przeszkody, brzydzi się tchórzostwem i niedołęstwem, a wobec głosu obowiązku, staje się naraz potęgą, zagrzewającą innych do czynu. W historii naszej między innymi jaśniej przykład Chrzanowskiej, żony Samuela Chrzanowskiego, obrońcy Trębowli. Po długich bezskutecznych walkach, wobec silnego natarcia Turków i uszkodzenia murów zamkowych, Chrzanowski zwołał radę wojenną, na której zdecydowano się poddać twierdzę, gdy wtedy między obradującymi stanęła małżonka dowódcy, grożąc mężowi, że jego i siebie zabije, jeśliby o poddaniu twierdzy zamyślał. To dzielne wystąpienie Chrzanowskiej przejęło oblężonych najwyższym zapalem, tak, iż zdołali jeszcze utrzymać twierdzę aż do chwili przyścia posiłków, które ostatecznie Turków od bram miasta odparły. Czynna siła woli, czyli energia w działaniu, może jak widzimy, znaleźć się nawet w duszy kobiety do trudów wojennych nieprzywykłej, i która może pierwszy raz w życiu tej swojej siły użyła. Ale kobieta ta, miała silnie rozwiniętą uczuciową podstawę charakteru, która zapewnia mu objaw szlachetnych czynów. Prosty stąd wniosek, że kształcąc w sobie *poczucie obowiązku* i *własnej godności*, człowiek może tym samym ułatwić sobie rozwój siły woli i jej objawów w odpowiedniej chwili działania.

Czynną siłę woli najlepiej wyrabia samo życie, trudy i walka o chleb, o stanowisko, o zasady — ale samo życie jej nie daje, daje ją wrodzony temperament i odpowiednie, swobodne wychowanie. Młodzieniec może ją tylko wzmacniać w sobie lub w inną stronę obracać. I to jednak zadanie własnego kształcenia nie powinno być zaniedbywane. Dobór towarzystwa ludzi energicznych będzie najlepszą szkołą w tym względzie, chociaż

szkoła ta nigdy nie zastąpi a raczej nie przerobi grodzanego nastroju organizmu i pierwszych wpływów dzieciństwa. Można ze słabego stać się silnym przy starannej pracy nad sobą i przy poddawaniu się odpowiednim wpływom, ale żywej *energii* działania, entuzjastycznej *rzutkości* umysłu, samowychowanie nie stworzy. Właściwe wychowanie samo przez się bez pomocy wrodzonego temperamentu również niewiele zrobić może. Ale też fakt ten nie powinien osłabiać naszej wiary w skuteczność pracy nad własnym charakterem. Nie możemy przerobić naszej natury z gruntu, nie możemy flegmatycznego temperamentu zamienić w sangwiniczny, ale też taka przemiana leży poza celami, jakie sobie samowychowanie stawiać winno. Kształćmy się na ludzi godnych szczęścia i szukajmy szczęścia w podniesieniu własnej godności. Ten cel powinien nam wystarczać — różnice i stopnie, zawsze istnieć muszą we władzach ludzkiej duchowości — różnice te i stopnie warunkują nasz podział charakterów, podobnie jak i podział pracy — i prawdopodobnie nigdy istnieć nie przestaną...

Do powyższych uwag jedną jeszcze dodać winienem, a mianowicie, że rzutkość myśli i entuzjastyczny nastrój woli, należy do zasadniczych cech naszego narodowego charakteru i raczej jednostronne jego rozwinięcie niż brak takowego spotykamy najczęściej w życiu. Na nieszczęście owa czynna siła woli jest tylko chwilowym objawem naszych uczuć, naszej skłonności do entuzjazmu i zapału — nie zaś przymiotem stałych usiłowań.

Jednostronne zbyt wygórowane rozwinięcie czynnej siły woli, tworzy ludzi, o których mówimy, że są w *gorącej wodzie kąpani*. Jednostronność taka prowadzi do gwałtowności, do nierozważnych wybryków energii — i jest jedną z naszych najpospolitszych wad. Wykorzeniec ją równie trudno, jak i wyrobić. Więcej tu znaczy wychowanie domowe racjonalnie prowadzone, aniżeli wychowanie własne — ale i to ostatnie nie pozostanie bez wpływu, jeśli tylko człowiek gorączkowego charakteru poczuje potrzebę hamowania się na podstawie obserwacji i krytyki własnych czynów. Rozbudzanie w młodzieży naszej upodobania do owej pracy nad samym sobą, należy do najświętszych obowiązków każdego, ktokolwiek na młode pokolenie jakikolwiek wpływ wywierać może.

Weźmy teraz drugą stronę tej samej kwestii.

Zbyt słabe rozwinięcie czynnej siły woli, tworzy nader pospolitą wadę charakteru: *lenistwo*...

Sądzę, że nie będzie to przesadą, gdy powiem, że lenistwo dzieci jest winą wychowawców. Człowiek z natury swej potrzebuje być czynny i chce być czynny, trzeba tylko skłonności tej nadać kierunek, dać jej siłę, wytworząc w młodym umyśle żywe obrazy celów działania, celów pracy. Dziecko, w którym przyrodzone zdolności umiano rozwijać, dziecko, któremu ułatwiono nabycie nałogów do zajęć, jakich samo pragnie, czy to będzie upodobanie do rysunków, czy do ogrodnictwa, czy do mineralogii, czy do czytania, podróży, czy do historii lub matematyki — dziecko takie, mówię, nie będzie nigdy próżnować, bo próżnowanie nie zaspakajając licznych jego upodobań i skłonności, będzie dla niego przykrejsze, aniżeli dłuższa nawet praca. Ale i poza wychowaniem rodzicielskim, wiele, bardzo wiele jeszcze zrobić można. Weźmy przykład: jestem najmocniej przekonany, że ranne wstawanie nie tylko przysporzyłoby mi czasu do pracy, z której mam owoce, ale i dla zdrowia byłoby bardzo pożądane. Cóż z tego, kiedy ile razy obudzę się wcześniej i zestawię w myśli potrzebę wstania, chłód poranku i zimną wodę, którą się mam umyć, z owym wygodnym, ciepłym otoczeniem mojego łóżka, z owym szeregiem porannych marzeń jakie na pół świadomie przesuwają mi się w umyśle — tyle razy błoga terażniejszość bierze przewagę nad chłodno-obowiązkową myślą o przyszłości i — przewracam się na drugi bok wzdychając.

Jak się wyleczyć z takiego lenistwa? Skoro sama siła woli nie wystarcza, weźmy w pomoc zewnętrzne pobudki. Znam towarzysza, który zawsze rano chodzi na przechadzkę z książką w ręku i który zawsze śmieje się z mego lenistwa. Zaproponuję mu żebyśmy jutro poszli razem i żeby mnie przyszedł obudzić. Może za chwilę opuści mnie silne postanowienie poprawy i może nawet będę żałował, że mu o tym powiedział — ale stało się — przychodzi, budzi mnie i już choćby sam wstyd nie pozwala mi cofnąć propozycji. Wstawszy, spostrzegam, że nie ma nic tak strasznego w rannym wstawaniu, że może nawet przyjemność przechadzki lub korzyść porannej pracy więcej są warte od paru godzin półsennych marzeń, od których głowa tylko boli; — powtarzam doświadczenie raz, drugi i nabywam nałogu, który tym samym dawny nałóg lenistwa usuwa.

W ten to mniej więcej sposób możemy w celach pedagogicznych wyzyskiwać wpływy zewnętrzne, wtedy gdy własne pobudki są za słabe, ażeby same przez się wywołać mogły reformę.

Połączenie *siły odpornej* z *siłą czynną* daje, jak wspomniałem, przymiot woli, który nazywamy *wytrwałością*.

Człowiek wytrwały umie nie tylko *znosić* przeciwności, opierać się obcym wpływom (*siła odporna*), ale i *usuwać* je potrafi, gdy takowe na drodze jego działań jako przeszkody wystąpią (*siła czynna*). Idzie on tą drogą, którą raz obrał bez obawy, bez odpoczynku, bez wahania, obmyśla sposoby usunięcia przeszkód, pokonuje przeciwności i — zwycięża. Tak jest, zwycięża, bo wytrwałość musi zwyciężać. Tej cnoty niestety najmniej posiadamy. Każda myśl wzniosła rozgrzewa nas, ale tylko rozgrzewa; zapął chłodnie, ciężka praca na chleb powszedni osłabia przedsiębiorczość; niepowodzenie w przemyśle, w nauce lub sztuce, zniechęca, a nieraz nawet zabija. Na tę też ważną stronę naszego charakteru, powinniśmy jak największy nacisk położyć.

Leczmy się, bo zawsze będziemy w tyle za innymi; nauka, przemysł, rolnictwo, handel — wszystko to nie może się wznieść dostatecznie, wobec tej jednej wady naszej. A przecież nie jest to wada niemożliwa do usunięcia. Trzeba tylko z dziedziny wychowania wyrzucić nieco zabawek a dodać nieco pracy, ale pracy swobodnej, przyjemnej. Czegóż bowiem potrzeba, ażeby być wytrwałym? Potrzeba pracując znajdować coraz to nowe pobudki, które nam ustać nie pozwolą i dalej pracować każą. Niepodobna wytrwale pracować nad czymś, co bezpośrednio czy pośrednio nie budzi w nas nadziei przyjemnych wrażeń. Tylko ta myśl, że pracując dłużej, zbliżamy się stopniowo do upragnionego celu, że z każdym krokiem naprzód zdobywamy coraz to więcej wiedzy, lub pozostawiamy coraz to więcej przeszkód poza sobą — a tym samym coraz to mniej przed sobą — tylko ta jedna myśl o przyjemności, jaką daje praca, może nas uczynić wytrwałymi. A więc *wzbudzić upodobanie do pracy* — w tym cały sekret. Tak prosty — a tak dla wielu niezrozumiały!

Wyrabiając w sobie tę prawdziwie społeczną cnotę, szukajmy przede wszystkim *wzorów*, poddawajmy się ich wpływom, wiążmy i zacieśniajmy coraz to silniej ogniwa szlachetnego nałogu; wezwijmy do pomocy wszystkie siły ducha: i poczucie godności i poczucie obowiązku i miłość

prawdy, wszystkie wzory z historii, poezji i wiary — wszystkie znane nam wytrwałe charaktery przyjaciół. Zaczniemy od najprostszych przedsięwzięć i postanówmy sobie nie porzucić żadnego, dopóki cel żądany nie będzie osiągnięty. Wytrwałość w takich drobnych przedsięwzięciach nie przedstawi żadnej trudności, a gdy umysł nasz przywyknie do tego, żeby zawsze w drobnych pracach być wytrwałym do końca, to i w coraz to większych stopniowo, choćby na mocy nałogu, dążyć będzie uparcie do celu, który sobie z góry określił.

Pobudki, jakich dostarczy nam życie, spełnią resztę.

Wytrwałość — ze wszystkich cnót najtrudniejsza do zdobycia, znaleźć się przecież musi tam, gdzie racjonalnie rozwinięta uczuciowa podstawa charakteru znalazła w życiu odpowiednie pole do ćwiczeń — gdzie doświadczenie życiowe zdołało rozbudzić siłę woli w walce o byt pod naciskiem potrzeby; gdzie wreszcie myśl ciągłego doskonalenia się nie zatonęła w odmęcie codziennych zdarzeń, ale przeciwnie przyświeca myślom i czynom.

Doświadczenie — to najlepszy nauczyciel. Lecz ażeby godnie wysłuchać jego nauki, trzeba się do niej przygotować; przygotować się pracując nad sobą, kształcąc własny charakter. Praca to ciężka i długa — ale nie mniej jest naszym obowiązkiem — jest obowiązkiem, podobnie jak praca na chleb powszedni jest obowiązkiem społecznym, bo jakie jednostki, taki naród.